

Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.



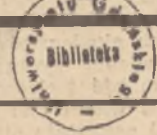
W i e s t a

Instytut Bałtycki Wydział Biblioteczny
Hydroszcz 41.1 Maja 48

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACYJNY

Rok IV

Łódź, 2 listopada 1947 r.



ciu 9037

Nr 42 (121)

Wiesław Jażdżyński

G A U D E A M U S

(O tradycjach wychowawczych w gimnazjach i uniwersytetach)

Niedawno odbyły się w miastach uniwersyteckich uroczystości otwarcia nowego roku akademickiego.

Z przemówień I. M. Rektorów i przedstawicieli rządu można wnosić, że problem społecznej postawy polskiego akademika jest nadal otwarty, choć mija już trzeci rok od chwili odzyskania niepodległości.

Płyną więc lata — a nasze średnie i wyższe uczelnie produkują nadal typ młodzieży — odwrócony od zagadnień społecznych, często wrogi wobec zaszłych w rezultacie wojny przemian w społeczno-gospodarczej strukturze kraju.

Kiedy dziś — dla usunięcia zła — dyskutuje się bezmala trzy lata nad problemem nowej organizacji kultury, pojętej jako funkcji zmienionego ustroju społecznego i gospodarczego państwa i przeprowadza się w związku z tym reorganizację szkolnictwa wszystkich stopni w kierunku nadania mu uspołeczniającego charakteru oddziaływania na młodzież — warto przypomnieć, po pierwsze: tradycje wychowawcze gimnazjów ogólnokształcących, po drugie: te same tradycje obowiązujące na przedwojennych wyższych uczelniach, nie bardzo chyba mimo prowadzonych dyskusji zmienione, skoro problem społecznej postawy młodzieży akademickiej jest jeszcze nadal otwarty.

W GIMNAZJUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCYM

W ostatnich latach przed wybuchem wojny dokonał dr M. Falski analizy społecznego pochodzenia młodzieży uczęszczającej do szkół niższego, średniego i wyższego stopnia. Sporządzona tabelka („Kultura i Wychowanie” Nr 5, 1938 r.) wykazuje, że na każdych 100 uczniów rozpoczynających naukę docierało do I klasy gimnazjum nowego typu uczniów:

A. Warstwy zamożne i wykształcone	63,0 uczniów
W tym więksi przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	62,8 „
wolne zawody	86,1 „
urzędnicy publiczni	67,8 „
B. Mniejsi przedsiębiorcy	11,1 „
C. Rolnicy od 5 do 50 ha	3,1 „
D. Rolnicy do 5 ha	1,0 „
E. Niżsi funkcjonariusze	22,2 „
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	2,9 „
G. Robotnicy rolni	0,6 „

Najliczniejsze klasy społeczne, jak to z tabeli wynika — chłopcy i robotnicy, stanowiący ponad 70 proc. narodu nie miały nawet 8 proc. swojej młodzieży w gimnazjach przedwojennych. „Indywidualne zainteresowania i charakterystyki poszczególnych jednostek nie odgrywały na terenie szkolnictwa bardziej istotnej roli. Ruch ten sprowadza się zasadniczo do selekcji społecznej uwarunkowanej organizacją naszego szkolnictwa i całym układem stosunków społeczno-gospodarczych” — pisze M. Falski.

Dla chłopkiej i robotniczej młodzieży pozostawało niższe szkolnictwo zawodowe i nieliczne kursy fachowe, rzadko kiedy średnia szkoła techniczna czy przemysłowa.

Jakże wyglądał stosunek szkół średnich do zawodowych przed wojną?

W latach 1938—39 mieliśmy 789 gimnazjów ogólnokształcących z 234,200 młodzieży, podczas gdy kursów i szkół zawodowych niższego oraz średniego stopnia było razem 717 z 90,800 młodzieży.

Tak więc młodzież pochodząca ze „sfer” ziemiańskich, fabrykantów, wyższych urzędników publicznych i tzw. wolnych zawodów stanowiła większość nawet w średnich szkołach zawodowych, przede wszystkim jednak wypełniała prawie całkowicie gimnazja ogólnokształcące, gdzie panowała określona atmosfera wychowawcza. Oto jej elementy:

a. „Polska mocarstwowa”

„Szczęśliwy jest los poetów dzisiejszego dnia — pisali Stefan Żeromski („Elegie”) — W ich oczach Polska — sen księci rozszaniach po okręgu ziemi — niezwykłym mocarstwem się staje... Koń jeździeca narodowego zgrzany od zwycięstwa nad Moskwą, w Niemnie i Wilii woń pije”.

Wypada tu powtórzyć pewną legendę. Polskę powstałą po pierwszej wojnie światowej wskrzesił odwieczny duch narodu, ten sam, który zwyciężał pod Obertynem, Pskowem, Chocimem i Beresteczkiem. Po 100-letniej przerwie podejmuje naród na nowo tę samą

misję dziejową przedmurza kultury rzymskiej i ma ją nieść na wschód Europy. Nie udało się wprawdzie próba zagarnięcia całej Ukrainy, przy pomocy Petlury i nie odkwitły ziemiańskie folwarki na pszennej ziemi. Ale p. Dunin-Kozicka w zakończeniu kszątki o dziejach ziemianstwa polskiego na Ukrainie podczas rewolucji bolszewickiej — powie: my tam wrócimy!

W sytuacji międzynarodowej głosił hetman Polski mocarstwowej hasła całkowitej samodzielności politycznej, szczególnie wobec dwu wrogów: Związku Radzieckiego i Niemiec.

Samodzielność gwarantowała silna armia, gotowa natychmiast odeprzeć wroga. Opierała się ona o piechotę — „królową broni” i kawalerię, której tradycje wywodziła się z husarii króla Jana, broniącej Europy rzymskiej przed zalewem barbarzyństwa.

Ta część oficjalnie głoszonych haseł „Polski mocarstwowej”, oddziaływała na młodzież gimnazjalną w pożądanym kierunku. Twórcy legionowej legendy zostali zaakceptowani.

„Wy stać będziecie na wyniesieniu wiecznym. Wstąpiłście na ołtarz — przez Naród cały czczeni... Zostanie po wszelkie czasy żywy i mocen rozkazywać głos Wodza, który Was widzi O Czynu a nad nam. hetmańska wieść królujcie buławą...” („Młodzi Idą” — Kielce, 1938 r.).

Postacie obu Marszałków II-ej Rzeczypospolitej stały się wzorami cnót osobistych i „obywatelskich” — jak to się wtedy mówiło, — na których kształtować się miała społeczna postawa młodzieży. Konkursy na „najlepiej pojętą” życiorys obu Wodzów urządziły szkolne pisma b. często („Młody Nurt”, Warszawa, 1. IV. 1939), nagradzane przez ministerstwo oświaty.

Młodzież wierzyła w potęgę militarną przedwojennej Polski, opartej o piechotę i kawalerię.

„Rozwój broni silnikowych, mających jako ochronę mocny pancerz stalowy, miał się stać, według fałszywego prorocstwa niektórych doktrynerów i zaślepieńców zagranicznych, grobem piechoty. Na szczęście dla piechoty poglądy takie były nieliczne i trwały dość krótko... Tam, gdzie zawodzą takie czy inne maszyny, gdzie stają bezsilne motory, piechur idzie, piechur walczy...” („Młody Nurt” — 1938).

Młodzież akceptowała także entuzjastyczne posunięcia polityczne swoich przedwojennych wodzów.

Kiedy 2. X. 1938 zajmowali polscy ułani Zaolzie, specjalny wysłannik „Młodego Nurtu” patrzył z pogardliwym współczuciem na rozpaczliwe słowo afisza — „Vytvrteiti!”, które pisał padający naród słowiański.

Korespondent czołowego pisma polskiej młodzieży gimnazjalnej napisał: „teraźniejsza rzeczywistość dokonywalimy czynem mniej materialnym a więcej tym, którego zarodki tkwią w najgłębszych tajnikach duszy. Zwyciężyła prawda!”

Tak więc wyglądała prawda w „Polsce mocarstwowej”, tkwiąca w najgłębszych tajnikach duszy młodzieży.

Warto spytać jakli to ustrój gospodarczo-społeczny odnowił legendę Polski — przedmurza chrześcijaństwa, nadał jej pozory siły militarnej i opromienił sukcesami na bratnim narodzie słowiańskim?

Był to ustrój liberalno-kapitalistyczny, oparty w końcu 1938 roku o 171 karteli krajowych i 100 międzynarodowych: w ustroju tym zcierało się w „wolnej konkurencji” 1066 spółek akcyjnych, obejmujących wszystkie gałęzie produkcji przemysłowej i wmiatny. Liczba nowo założonych spółek wzrosła z 17-tu w 1937 r. na 57 w następnym.

Mit silnej Polski pojawił się w ostatniej imperialistycznej fazie kapitalizmu, jako forma odwrócenia uwagi młodzieży od problemów społeczno-gospodarczych. Gdyby wychowankowie gimnazjów ogólnokształcących umieli czytać dobrze w Roczniku Statystycznym, dowiedzieliby się zapewne, że w roku 1937 wybuchło w Polsce 2090 strajków. Dowiedzieliby się również, że 603,400 bezrobotnych z samego tylko przemysłu wołało w „Polsce mocarstwowej” o chleb.

Wolania bezrobotnych o pracę i chleb nie dało się oczywiście zagłuszyć. Trudno było również ukryć fakt, że w latach 1927—37 ponad 500,000 chłopów — wyrobników szło rocznie na emigrację sezonową do robót rolnych na „sachsy i brandenbury”, a drugie

pół miliona chłopów opuściło w tym czasie nasz kraj, emigrując na stałe.

Mit „Polski mocarstwowej” jako czynnik wychowawczy, podtrzymujący liberalno-kapitalistyczny ustrój nie mógł całkowicie odsunąć młodzież od pojawiających się raz po raz kryzysów. W pomoc służy dalsze elementy systemu wychowawczego.

b. „powiedzia Menandros”

„Humanizm przeciwstawia się innym typom wychowania — pisał prof. Ryszard Ganszyniec, redaktor „Filomata” — one są utylitarne — humanizm irracjonalny; one uprawiają mizną, przyziemną część człowieka — humanizm zaś wloty geniuszu, tamte walczą z konkurentami ze świata zwierzęcego — humanizm zaś domeną jest sublimowane człowieczeństwo... Utylityzm i służąca mu szkoła z wychowaniem zawodowym mają na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka, nie wznoszą go poza system linneuszowy, w którym homo sapiens ma miejsce obok małpy... Do świetlanych szczytów, w sfery idealne wprowadzają człowieka tylko i wyłącznie studia humaniora... szkoła humanistyczna... działa nie tylko na intelekt, lecz obejmuje całe życie psychiczne człowieka, całą gamę jego uczuć, począwszy od płomiennego entuzjazmu, gotowego do wszystkich poświęceń aż do subtelnego kultu człowieczeństwa... Naprawdę wielką jest rzeczą być humanistą i sześciuży ten naród, którego szkolnictwo daje możliwość dostąpienia tego szczytu. Powiedział Menandros: jakim klejnotem jest człowiek, gdy człowiekiem jest!” („Filomata” L. 105, 1938”).

Zalecany przez „Filomata” wzór wychowawczy przyjął się powszechnie w gimnazjach ogólnokształcących. W izolacji od utylityzmu „mającego na oku tylko fizyczny dobrobyt człowieka”, szukała młodzież największego klejnotu — człowieka.

„W górę serca! w pełnię życia, kroczmy naprzód Filomaci, a zmysł piękna, miłość prawdy, niech pojedna nas jak braci” — pisał uczestnik konkursu na jeszcze jedną pieśń Filomatów.

Ponieważ humanistyczny system wychowawczy usuwał strukturę społeczno-gospodarczą z pola widzenia młodzieży, wydawało się Filomatom XX wieku, czasów imperialnej fazy kapitalizmu, na krótko przed wielką wojną o polityczne, społeczne i gospodarcze dzieje narodów Europy, że problem nędzy i zła leży w jednostce. Stał też personalistyczna postawa wobec ogólnego nieraz rozpaczliwej sytuacji proletariatu.

Problem „Ludzi bezdomnych” przeżywała młodzież jako osobiste i moralne zagadnienie, przyczynem nie ważne było postawienie tego problemu na tle dziejów społeczno-gospodarczych, dla ustalenia konieczności i kierunku zmiany istniejącego układu stosunków. Ważne natomiast stało się natężenie postawy uczuciowej jednostki wobec widzianej nędzy.

Taka personalistyczna postawa młodzieży wobec życia musiała się pojawić, skoro wmlono w nią, że szczęśliwy ustrój państwa jest funkcją rozwoju sił duchowych dobra i szlachetności — jednostki.

Do zajęcia takiej właśnie postawy wzywał również min. oświaty Wojciech Świątosławski w mowie radiowej, wygłoszonej do młodzieży we wrześniu 1938 roku.

Oto co mówił minister: „Szkoła nauczy was przede wszystkim doznawać nowych nieznanym wam dotychczas radości, płynących z przeżyć duchowych... Usiłujcie wytrwale stać się coraz to lepszymi, a raz obrwawszy drogę doskonałości swego ducha nie ustawajcie w tej pracy przez dalsze życie...”

Społeczny sens tego podniosłego, moralistycznego przemówienia nie jest inny niż wszystkich innych, cytowanych tu wypowiedzi. Pomijając świadomość społeczną autorów tych wypowiedzi, stwierdzić trzeba, że wszystkie zakładały one, iż u podstaw wszelkiej pomyślności narodu leży nie zmiana jego struktury gospodarczej, ale człowiek i jego wyposażenie w cnoty wieczne, dobra, szlachetność charakteru i silnej woli, stojące ponad, a właściwie poza strukturą społeczną.

Takie podstawy wychowawcze młodzieży przyjęła. „Te słowa wielką dla was mają wymowę — pisała redakcja „Młodzi Idą” bezpośrednio po mowie min. Świątosławskiego — są jakby drogowskazem, według którego skierujemy i skoordynujemy nasze wysiłki. „Sta-

jemy z ochotą do nauki i pracy społecznej pod hasłem odpowiedzialności indywidualnej... Każdy z nas odpowiada w pełni za swe czyny i słowa”.

Tak więc, światem zainteresowań młodzieży szkół ogólnokształcących stały się nie dzieje chłopów, robotników, czy kapitalistów, ale zagadnienia rozwoju wewnętrznego uczuć i woli. Ten zwrot ku doskonałemu indywidualnemu jako podstawy działania społecznego umacniał jeszcze jeden element systemu wychowawczego.

c. Każdy za siebie — Bóg za wszystkich!

„Podstawowym czynnikiem wychowawczym, którego wpływ powinien zaważyć na całym naszym życiu jest dawane wam w szkole i w domu wychowanie religijne” — mówił do młodzieży min. Świątosławski.

Zatym wychowanie religijne, podniesione w gimnazjach ogólnokształcących do naczelnej rangi, uzupełniało „komplet serca” młodzieży. Opierało się ono o przymus chodzenia do kościoła, lekcje religii i prace nad samokształceniem się w kołach sodalicy.

Czego można było dowiedzieć się z niedzielnych kazań prefektów?

Cytujemy tym razem ks. pref. Czerwińskiego, który uczył religii Stefana Żeromskiego: „Droga mi inteligencjo, moi miłi uczniowie: uczeni i literaci, pisarze i artyści, pedagodzy i sędziowie, urzędnicy i przemysłowcy, a tymbardziej różni dygnitarze! Religijnie i cnotliwie żyćcie w związkach małżeńskich, szanujcie ich świętość i nierozzerwalność dla szczęścia rodzin waszych i dobra miłej ojczyzny, poświęcajcie się dla ojczyzny, a nie wyzyskujcie jej ani obdzierajcie finansowo przy każdej sposobności... Budujcie w życiu rodzinnym i podnoście lud, który patrzy na was, i o tyle trzyma z wami i ceną was, o ile wy trzymacie z Bogiem i jego świętym rzymsko-katolickim kościołem” (1926).

Mamy tu do czynienia z dyskretnym wykładem z dziedziny polityki społecznej. Chodzi w nim znnowu nie o co innego jak tylko o utrzymanie istniejącego układu społecznego w stosunkach „różnych dygnitarzy” i „przemysłowców” z bezimienną 70%-ową masą narodu nazwaną ogólnie ludem. Układ miało podtrzymywać poczucie wspólnoty religijnej, oparte o prymat kościoła.

Jeżeli znalazł się ktoś pośród młodzieży, kto rozwiązywał problemy społecznych stawał na gruncie przemian struktury ustroju, radykalizm tak! bywał usuwany na lekcjach religii. Przyznała to sama młodzież, żegnając na krótko przed wojną następcę prefekta Żeromskiego.

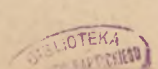
„Był wielkim powiernikiem naszych przeżyć i poglądów na życie, z pogodnym uśmiechem prostował radykalne sądy młodych zapaleńców... Wpajał w nas miłość chrześcijańską, wysoką moralność...” („Młodzi Idą”, 1938)

Taką samą wysoką moralność wpajały w młodzież sodalicy. Kim miał być gimnazjalista — sodalis? Odpowie nam kronikarz Mariański: „Sodalis to nie tylko przyszły ksiądz — Sodalis, to każdy Polak — katolik, rozumiejący cel swego życia, ceniący swe tradycje narodowe, stojący w obronie tego, co wzniosłe, co doskonałe” („Młodzi Idą”, luty 1939). Na jakiej drodze dochodził sodalis do miłości chrześcijańskiej? „Sodalisi byli bezwzględni dla siebie. Świadczą o tym karty piemięzne wyznaczane za nieobecności na zbraniu, udzielanie napomnień, wreszcie, jeśli tego wymagała potrzeba, skreślenia z listy Sodalistów i odebranie dyplomów” — odpowie Mariański kronikarz.

Wyposażony nie w wiedzę o istotnym stanie społecznym i gospodarczym kraju, ale z orężem zapалу i wiary we własne siły stawał sodalis do walki o własną doskonałość w przekonaniu, że suma doskonałych jednostek równoznaczna jest ze szczęściem narodu. Utrzymując z jednej strony „przemysłowców i dygnitarzy”, z drugiej strony masę ludu, związane religijną wspólnotą w naród — miał spełnić Sodalis Chrystusowe posłannictwo.

Tak to wyglądało przygotowanie młodzieży do przyszłych zadań w kraju „skazanym na wielkość”, gdzie znikomy odsetek rentierów posyłał ten sam procent swojej młodzieży do gimnazjów ogólnokształcących, co i masa chłopska stanowiąca blisko 70 proc. narodu.

Czołgi niemieckie, te same które przejechały błyskawicznie Austrię i powaliły przy na-



DMIT MAR

szej pomocy Czechy, rozbiły w kilkanaście dni „Polskę mocarstwową”. Królowa bronie — piechota i wstawiona w bojach, niezwykłego kawaleria poszły w rozsypek. Związek Radziecki okazał się sojusznikiem, a szczęście cierpiącego w ojczyźnie człowieka rozwiązuje się właśnie nie drogą kształcenia wiecznych cnót człowieka, ale przez zniesienie liberalno — kapitalistycznej struktury państwa, którą usiłował utrzymać daremnie przedwojenny system wychowawczy.

Ukształtowana poza społeczno — gospodarczymi dziejami pozostała młodzież w znacznej części na marginesie naszej rzeczywistości — przestępując dziś próg wyższej uczelni, wraca do tej rzeczywistości z trudem.

NA PRZEDWOJENNYCH UNIwersYTETACH

Cytowana już częściowo tabela, sporządzona przez dra M. Falskiego pokazuje dalej, że na każde 100 uczniów, zaczynających naukę wstępowało na pierwszy rok studiów akademickich:

A. Warstwy zamożne i wykształcone	19,4 uczniów
W tym więcej przedsiębiorcy w przemyśle i handlu	21,9 „
wolne zawody	41,1 „
urzędnicy (publiczni)	18,6 „
B. Mniejsi przedsiębiorcy	1,8 „
C. Rolnicy do 50 ha	0,4 „
D. Rolnicy do 5 ha	0,2 „
F. Robotnicy fabryczni i służba domowa	0,4 „
G. Robotnicy rolni	0,1 „

Najliczniejsze klasy społeczne — chłopska i robotnicza, jak to pokazuje tabela — były reprezentowane na wyższych uczelniach już tylko w 1 proc. Natomiast młodzież klas uprzywilejowanych stanowiła 96 proc. ogółu studujących.

W roku akademickim 1936/37 mieliśmy 48.000 młodzieży na wyższych uczelniach. Warto jeszcze przypomnieć sobie, że poszczególne najważniejsze wydziały były następująco obsadzone:

Prawo i nauki polityczne	12,629 słuch.
Medycyna	3,872 „
Rolnictwo	2,463 „
Politechniki	7,459 „
Nauki handlowe	4,268 „

Tak więc prawie 50.000 młodzieży ze „sfery” ziemianńskiej, wielkich i średnich przedsiębiorców oraz wyższych urzędników publicznych wypełniało niemal całkowicie sale wykładowe i pracownice naszych przedwojennych wyższych uczelni.

I tu panowała określona atmosfera wychowawcza, oparta — jak to się i dziś jeszcze mówi — o „czystą naukę” albo „naukę jako taką”. Atmosfery „czystości nauki” broniła autonomia szkół wyższych.

Jakież były elementy przedwojennego systemu wychowującego młodzież akademicką?

a. Dostojna „człowieka wiecznego” praca

Z okazji uroczystej immatrykulacji jaka odbyła się w 1927 roku na uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, J. M. Rektor powiedział do młodzieży:

„Podpadacie pod jurysdykcję uniwersytetu, który władzę swą sprawuje mocą autorytetu moralnego. Stąd też civis academicus to godność niezwykle cenna, reguluje ją poczucie honoru stanu. Honor stanu akademickiego, oto sankcja, która winna podać wysoki diapażon waszemu życiu koleżeńskiemu i stosunkowi do władz akademickich... Pewna swoboda studiów zmierza tu właśnie do wytworzenia samostnej kultury pracowitości, surowego rygoru obowiązkowości, więc do wartości moralnych, do wyrobienia zalet charakteru...”

Duszpasterz akademicki powiedział z tej samej okazji:

„Praca naukowa jest waszym pierwszym obowiązkiem, bez niej można być wszystkim, czym chcecie — ale nie studentem. A druga praca — może jeszcze bardziej trudna i męcząca — to „wydobywanie z Przeszłości” „płonącej gwiazdy”, skupianie w sobie jak najwięcej „ziarna siewnego”, jak najwięcej żywotności i siły, słowem — uszlachetnianie swego człowieczeństwa. Dostojna „człowieka wiecznego” praca!”

Przytoczone fragmenty przemówień wykazują, że uniwersytecka atmosfera wychowawcza stanowiła konsekwentne przedłużenie systemu wychowania w gimnazjach ogólnokształcących.

Chodziło znowu o „uszlachetnienie swego człowieczeństwa”, do którego nawoływał rektor „Filomaty” — prof. Ganszyniec. Ale kształtowanie człowieczeństwa na uniwersytecie było dla gimnazjalisty bardziej atrak-

cyjne, ponieważ opierało się o nowe, nieznane mu pojęcia „honoru stanu akademickiego” i „wysokiego diapazonu” życia koleżeńskiego. „Dostojna człowieka wiecznego” praca, służąca jedynie kształceniu waleńców moralnych jednostki, miała zapewnić nie tylko krajowi, ale i całemu światu szczęśliwe dzieje.

Takie podstawy wychowawcze, wcale nie inne niż obowiązujące w średnich szkołach ogólnokształcących, akceptowała młodzież akademicka z entuzjazmem.

W jakim to sposób musieli doskonalić się polski akademik, aby zapewnić szczęśliwy byt każdemu człowiekowi w kapitalistycznej ojczyźnie, a nawet i innym mieszkańcom świata? Czy przez zmiany ustrojowe? Otóż nie — przed wojną zbawiało ludzkość w sposób daleko prostszy niż dziś.

„Przed wszystkim sami się musimy otrząsnąć ze złych naleciałości i udoskonalić wewnętrznie” — powiedział przedstawiciel uniwersytetu Poznańskiego, na zjeździe jasnogórskim akademików, 24. V. 1936 — i? — „uczynić wielką wyprawę do głębi naszych serc po miłość twórczą i budującą. Musimy sprowadzić wielki cud odrodzenia, aby przez to drożdż najbliższe otoczenie, społeczeństwo, państwo, świat” — dokończył reprezentant uniwersytetu Jagiellońskiego.

W taki to sposób — idąc za wskazaniem swoich przełożonych, usiłowała młodzież akademicka załatwić problem nędzy i zła w świecie. Sposób ten, nie naruszając zupełnie społeczno — gospodarczej struktury kraju, był tylko pozornie niezawodny. Niedomogi klasowego ustroju kapitalistycznego pokazywały się coraz częściej.

W 1937 roku 566.000 robotników polskich urządziło 1093 strajków okupacyjnych. Równocześnie przez całą Europę i świat szła fala protestów świata pracy przeciw wyzyskowi: 591.000 robotników angielskich strajkowało 1129 razy tegoż roku, 1.861.000 amerykańskich — 4740 razy i 427.000 francuzów — 3680 razy (Rocznik Statystyczny — 1939 r.).

Ale i na takie, nie dające się przeczyć ukryte niedomagania kapitalizmu, zapowiadające możliwość walki klas, znalazła się w uniwersyteckim systemie wychowawczym odpowiedź, tłumiąca niepokój, jakich musiały doznawać wrażliwa na ludzką nędzę młodzież.

b. „Za jasną zaność człowieka”

Z okazji otwarcia roku akademickiego 1927/28 na uniwersytecie Stefana Batorego przemawiał do młodzieży J. M. Rektor Almae Matris Vilmensis. Przyjmując za podstawę przemówienia, książkę prof. Zdziechowskiego pt. „Walka o duszę młodzieży” — mówił J. M. Rektor:

„...prof. Zdziechowski, jak nikt drugi w Polsce, bije na alarm, skrzyknął chce naród do walki na duchy w obronie starej, na opocę katolicyzmu wzniesionej kultury, a katolicyzmu, że wzniesiona wsieklnością przez bramy piekielne. Starym prawem: wskrzeszona Polska znowu ma zająć przednie przyczółki i wypadowe szanice przedmurza chrześcijaństwa.”

W awangardzie tego zbrojnego pogotowia duchowego, na obronę Boga przeciw rozpasanemu bożoczołwieństwu, za Chrystusa przeciw Antychrystowi, za spirytualizm przeciw materializmowi, za jasną zaność człowieka przeciwko jego bestializacji — iść winna młodzież, czynna współtwórczyni duchowych dóbr kultury narodowej, młodzież akademicka, młodzież naszego, jak bastion wysuniętego „Uniwersytetu Wileńskiego” przede wszystkim.

Profesor-Rektor wierzył głęboko, że Polska zwycięży w tej walce na duchy, dzięki narastaniu — „miazgi kulturotwórczej”.

„...ten nie słabnący wzrost miazgi kulturotwórczej — powiedział — zawdzięcza Polska potężnym rezerwom, jakie ma w głębszych warstwach masy narodowej, tej, która w tworzeniu wyższej kultury udziału dołąd nie miała. Lud w Polsce jest jak długo wyugorowana, uprawy i zasiewu żądna nowizna, kryje w sobie zadatkę bogatej nad podziw pleiadenności, cały zasób nowego rozpedu twórczego...”

„Straszą nas stąd i zowąd, że lud Polski, stanowiący do niedawna masę ciemną, nieruchawą, kryje w sobie zadatkę złowrogie, że zanim ujawni w dziele zbiorowym swoją urodzajność twórczą, wpięć wybuchnie spod nawarstwien mściwej zawziętości jako moc niszczycielska. Innymi słowy, że niezadługo zagnie on gwałtownie bieg naszego życia kulturalnego, odrzuci i zlamie budowlę przeszłości, wytwór szlachetczyzny, i na ruinach dopiero rozpocznie orkę pod nowe, nieznane jakieś żniwo. Tak nas straszą. Są to jednak istne strachy na Lachy. Niewątpliwie znaleźli by się u nas tacy, którym z jakichś tam względów dogadają by taka perspektywa rozerwania i przewrotu, którzy też z tupelem wykrzykują podobne zapowiedzi. Ale wybrzyki te nie zmieniają przyrodzonego biegu naszej historii. Bieg zaś przyrodzony idzie po linii nie rozerwania ale organicznego wzrostu polskiej gleby z podglebiem w jedną rolę narodu.”

Przemówienie I. M. Rektora pozwala sądzić, że i na przedwojennych wyższych uczelniach odbywały się wykłady nie tylko w zakresie „czystej nauki”, ale także i z dziedziny aktualnych zagadnień polityczno-społecznych.

O czymże traktuje przemówienie I. M. Rektora? Spróbujmy streścić:

Polska pełni „starym prawem” funkcję przedmurza chrześcijaństwa. Ma do tego zadania wszystkie warunki. I kulturę zbudowaną na opocę katolicyzmu i ustrój klasowy gwarantujący najliczniejszemu w kraju chłopom zgodną z ich biologicznym bytem, „bogata nad podziw” odrębność stanowo-plemienna. Rewolucji żadnej nie będzie, ponieważ zgodnie z przyrodzonym biegiem lud-

podglebie będzie zasilaną swoją miazgą kulturotwórczą, podstawową dla narodowej kultury — glebę szlachecką. Glebę z podglebiem wiąże nierozzerwalna wspólnota religijna.

Takiemu wyjaśnieniu struktury społecznej kraju przytaknęli nawet akademicy-chłopi.

„Wszystkie słyżą ze szczególnego przywiązania do religii — mówił przedstawiciel Cieszyńska na Zjeździe w Częstochowie — mogą o tym świadczyć wspaniałe uroczystości i obrzędy, urządzane w każde święto... tak było od wieków i tak będzie, nie bowiem duszy ludu zmienić nie zdoła...”

Podczas gdy z Jasnej Góry mówiono o wiecznej duszy ludu, podtrzymując mit odrębności klasy chłoposkiej, a co z tym idzie, kapitalistyczną strukturę kraju — jakże tragicznie przedstawiała się prawda!

W roku 1931 mieliśmy 700.000 zbędnej ludności wsi w gospodarstwach do 15 ha, 170.000 najmitów folwarcznych szukało daremnie pracy, a 27,6 proc. chłopów nie umiało ani czytać, ani pisać. Jeszcze w roku szkolnym 1935-36 ilość szkół wiejskich

1 klasowych	wynosiła	52,1 proc.
2-3	„	36,0 proc.
4-6	„	8,7 proc.
7	„	4,2 proc.

Oto warunki wchodzenia podglebia chłoposkiego w szlachecką glebę, w Polsce — przed muru chrześcijaństwa, opartej o miłość bliźniego!

Fakty te leżały jednak, zgodnie z tendencjami systemu wychowawczego, poza świadomością społeczną młodzieży akademickiej. Wiedziała ona natomiast, że u podstaw wszelkiej działalności społecznej stoi człowiek i jego wartość moralna a każdy problem społeczny o tyle ma szansę na rozwiązanie, o ile go rozwiąże w sobie człowiek szlachetny.

Był jeszcze jeden element wychowawczy, oddziaływający najsilniej na młodzież akademicką w kierunku odwrócenia jej uwagi od narastającej problematyki społecznej kapitalizmu.

c. „Myśli nowoczesnego Polaka”

Wypada tu streścić jeszcze jedną legendę narodową, którą opanowała znaczna część młodzieży akademickiej, szczególnie w ostatnich latach przed wybuchem II wojny światowej.

Polska powinna być krajem „jak najbardziej zachodnim, z silną przewagą ludności mającej pojęcia i instynkty zachodnie, przede wszystkim poczucie prawa i przywiązanie do praworządności — w rozumieniu, że tylko na takich pojęciach i na takich instynktach ludności można zbudować silne, trwałe państwo”. (R. Dmowski, Pisma, t. 10). Poważna przeszkoła w osiągnięciu takiego państwa polskiego są żydzi, żywił nie zachodni, o zdegenerowanych pojęciach prawnych i etycznych. Z tego choćby względu żydzi muszą być zniszczeni. Państwo musi być nacjonalistyczne.

„Interes narodu nie tak dawno zjawia się w polityce, na miejsce interesów dynastii, świeckiej lub duchownej”. (Dmowski). W narodowym państwie polskim interesy klasowe, jako odwołujące się „do niższych przejawów instynktów społecznych”, muszą być przesłonięte interesem państwowym, podpartym poczuciem narodowej wspólnoty religijnej. „Starożytność Bóg i Ojczyzna nie zastąpi”. W państwie chodzić będzie o wyrobienie w członkach społeczeństwa zdolności podporządkowania swych potrzeb, widoków i upodobań interesowi narodowo-państwowemu, bez tego nie ma możliwości stworzenia zdolnej do życia organizacji państwowej. (Dmowski, Pisma, t. X). Przykładem tak zorganizowanego państwa są narodowe Niemcy. Należy mieć ogromny szacunek „dla ich energii, a przede wszystkim dla ich konsekwencji, która jest głównym przymiotem prawdziwie dojrzałego, męskiego umysłu”, tymwięcej, że „społeczeństwo pruskie, będące tak biegunowym przeciwieństwem naszego szlacheckiego typu, w znacznej mierze ulepiło się z tego samego materiału rasowego, co nasze, z dzisiejsi, niezawistni nam, ale jednocześnie tak nam imponujący Prusacy — to potomkowie wspólnych nam przodków, lub bliskich krewniaków, Słowian nadbałtyckich, Pomoran i w ogromnej ilczbie czystej krwi Polaków. Ten sam w znacznej mierze materiał, tylko wychowany w innej szkole państwowej, dał tak silny, żywotny, tak czynny politycznie naród, że zdołał on zorganizować całe Niemcy, rozbił on niedawna i wyzute z najelementarniejszych instynktów politycznych”. (Dmowski „Myśli Nowoczesnego Polaka”).

Obciążone historyczną tradycją narodowych cierpień, w gruncie rzeczy biernie i uwikłane w zagadnienia klasowe, pozostałość po zarazie socjalizmu — społeczeństwo polskie jest w stosunku do pruskiego ideału znacznie zapóźnione. „Życie wszakże robi swoje. Przemiany prawne, postępek ekonomiczny upodabniają nasz kraj innym krajom europejskim. Zaczyna się wytwarzać podobny do swych odpowiedników w innych społeczeństwach typ polskiego kupca, przemysłowca, technika, kantorzysty... Zaczynają się zjawiać... typy nowoczesne: agrariusz — wielki producent i mniejszy — farmer”, chociaż jest jeszcze takiki stan w kraju, że „gdy potrzeba dobrego administratora, można przejechać całą Polskę i odpowiedniego człowieka nie znaleźć” i „nie ma ludzi, umiejących dawać początek nowym gałęziom wytwórczości i zarobkowania... mających pojęcie o „porównawczej wartości pracy, o istocie handlu, o obrotach bankowych, prawie wekslowym, o elementarnej buchalterii itp.” („Myśli Nowoczesnego Polaka”).

Uaktywniony przez nowoczesnych Polaków — agrariuszy i znawców prawa wekslowego — naród, nie hamowany antagonizma-

mi klasowym; stanie do walki o swe prawa w Europie, gdzie ścierają się interesy dwu potężnych państw Anglii i Niemiec. Polityka państwowa wyznaczy Polsce interes narodowy, a prawem stanie się to wszystko, co przyniesie państwu korzyść.

Tak wyglądała pokrótce jeszcze jedna legenda przedwojennej Polski. Podpisała się pod nią znaczna większość akademickiej młodzieży — członków Sironicwa Narodowego, Obozu Wielkiej Polski i Obozu Narodowo — Radykalnego.

Wychodzące we Lwowie „Wiadomości Korporacyjne” postawiły sobie zyczoznawstwo za jeden z głównych celów pisma. Tam też pojawił się napasliwy artykuł pt. „Słowa na alarm” protestujący przeciw przyznaniu w lipcu 1928 roku Julianowi Tuwimowi nagrody literackiej miastą Łodzi.

Na Jasnogórskich słubach przedstawiciel lwowskiego uniwersytetu mówił: „Jesteśmy dziećmi epoki, której cechą jest czyn i walka!... Czas próby nadchodzi. Otóż my, współczesna młodzież polska, która poznała, że za masonerią i za komunizmem stoją zawsze siły światowego zyczoznawstwa, myśmy postanowili zwalczyć tę okropną zarazę żydowsko — masonską, która nie pozwala nam zbudować własnej cywilizacji, zabiera nam miejsce, przeznaczane na ziemi przez Boga!”

„Potrzebę „dobrych administratorów” państwa mieli zaspokoić słuchacze wydziałów prawnych, najliczniej obsadzonych, jak to wykazuje zamieszczona już wcześniej tabela. Brak fachowców z wiedzą „o obrotach handlowych” mieli uzupełnić akademicy z wydziałów handlowych, również stosunkowo licznie obsadzonych. Nowe gałęzie wytwórczości rozwinięłyby studenci politechniki.

Podziw dla narodu pruskiego, który wyrósł z pokrewnych nam składników rasowych wyrażała szczególnie młodzież RNO, naśladowująca formy organizacyjne niemieckiej Hitlerjugend.

Tak więc zaakceptowała młodzież akademicka mit Polski: katolicko — narodowej, w której miała usprawnić organizację prawną — administracyjną i udoskonalic przez studia handlowe i techniczne, orientując się ostrożnie w stronę III Rzeszy.

Warto sobie przypomnieć, jak wyglądała przedwojenna sytuacja w Europie środkowej?

Po opanowaniu Czech i Austrii wielkopałitalistyczny przemysł niemiecki osiągał po raz drugi w ciągu XX wieku fazę imperialistyczną i rusza do ofensywy na rynku gospodarcze środkowej Europy i Bałkan. Wielkie Niemcy obejmowały w roku 1938 prawie 76 proc. wywozu rumuńskiego, 43 proc. greckiego i ponad 40 proc. jugosłowiańskiego, 48 proc. tureckiego i 63 proc. bułgarskiego, a dostarczały 48 proc. przywozu węgierskiego, 50 rumuńskiego i jugosłowiańskiego, 51 proc. tureckiego i 58 proc. greckiego. (W. Jastrzębowski „Gospodarka niemiecka w Polsce”). W tym samym czasie obroty handlowe polsko — niemieckie obejmowały 32 proc. naszego handlu z Europą.

Dominiująca pozycja niemieckiego imperializmu gospodarczego na rynkach środkowej Europy i Bałkan oznaczała także decydujący wpływ III Rzeszy na rozbudowę aparatu produkcyjnego podległych jej gospodarczo państw. Czas był dla Niemiec pomyślny. — Państwa zachodnio — europejskie wycofywały gwałtownie krótkoterminowe kredyty inwestycyjne z tej części Europy. — Jedynym źródłem niezbędnych kredytów stały się Niemcy. Publicystyka Goebbelsa przekonywała równocześnie z niemiecką akcją kredytową że przyszłość mniejszych narodów Europy leży tylko w ścisłej współpracy gospodarczej pod cłoną III Rzeszy.

Jakąż rolę mogła odegrać Polska nowoczesnie myślących Polaków w ramach planów gospodarczych kapitalistycznych Niemiec, czy kapitalistycznej Anglii?

„Wzmacniając siłę narodową, przy zachowaniu nierówności klasowych... miała „wejść w grę wojenna kapitalistycznych imperiów. Przy próbach nowego podziału świata można było liczyć na rozszerzenie narodowej kolonii. Można było w ten sposób jeszcze bardziej usunąć z pola widzialności nierówności klasowe, tym silniej je utrwalając”. („Więć nr 41 — „Kategoryczne żądanie”).

Skutki manerowania między ścierającymi się w Europie mocarstwami kapitalistycznymi były jednak inne, niż te, jakich się spodziewał twórca „Myśli nowoczesnego Polaka” — Roman Dmowski.

Wojna pokazała jak wygląda rozwój gospodarczy pod opieką wielkich Niemiec i gdzie leży granica ofiarowanej nam na czas wojny przyjaźni Wielkiej Brytanii.

NOWE DZIEJE

Skoro zatem przedwojenny system wychowawczy, podtrzymujący liberalno — kapitalistyczny ustrój państwa, oparty o misję kulturalną narodu w ramach zachodniej cywilizacji i praworządności — nie otworzył oczu młodzieży gimnazjów ogólnokształcących i akademickiej na tragiczne dzieje chłopów i robotników, to klasy te przypomniły się same i walcza dziś z pozostałościami kapitalistycznej struktury społeczno — gospodarczej o „jasną zaność człowieka.

Nie jesteśmy już narodem skazanym na wielkość, obdarzonym przez Boga jakąś specjalną misją. Dziś jesteśmy wręcz przeciwnie narodem, dorabiającym się ciężko, jak wiele innych — nowego szczęśliwego człowieka. Trzeba nam tworzyć nowe dzieje — wyrównania kryzys społecznych w ramach lepszej niż kapitalistyczna struktura państwa.

Do takiej pracy zaprasza dzisiejsza młodzież akademicka „cierpiący w ojczyźnie człowiek”.

Czy długo będzie jeszcze czekał?

Wiesław Jajdzynski

W OSTATNIM 41 (120) NUMERZE „WSI”: z dnia 26 października 1947 r.:

Zespół „Wsi” — Kategoryczne żądanie. Lech Budrecki — Schillera idea teatru rzeczywistości; Wiesław Jajdzynski — I jeszcze jedna uczelnia; Aleksander Twardowski — Na Dnieprze (Tł. T. Chrościelewski); Dwa wiersze. (Tł. A. Kamieńska), Odnaczenie (Tł. A. Kamieńska); Eugeniusz Dolmatowski — Nocny samolot (Tł. T. Chrościelewski); Była wojna (Tł. A. Kamieńska); Jerzy Falenciak — Co to jest naród?; Pielgrzym w Dobromilu; Krytyczna Kuliczkowska — W sprawie poezji dla dzieci; Anna Kamieńska — Zły wilk, dobra babcia; Piotr Wyrobek — Wczasy kalwaryjskie; Władysław Białobok — Odpustowe refleksje; Marian Niklewski — Braki i pozostałości drobno-kapitałistycznej gospodarki; Józef Pogon — „Nieznana wieś” J. Kapuścińskiego; Fakty i zdania: Stanisław Cieślak — Ruch spółdzielczy a państwo; Anna Kamieńska — Oko w tyle głowy; Wiesław Jajdzynski — Dlaczego chłopski Marks?; Anna Kamieńska — Minister Mine — wójt; 3 ilustracje.

Hanna Kulągowska

PAMIĘTNIK DZIECIĘCIA WIEKU

Nadejście Polski Ludowej zaskoczyło niewątpliwie nie małą część młodzieży. Zdawało jej się, że po latach zmian, nieszczęść, bojów i strat Polska wynurzy się w postaci przedwrześniowej Ojczyzny swojskiej i poufalej. Abstrahując nawet od tego, jak ta młodzież ocenia zmiany ustrojowe i ekonomiczne, jest rzeczą jasną, że czuje się ona po prostu nieswojo, że nie może domagać się swej dawnej zakonserwowanej we wspomnieniach Polski. Bo młodzież ta uważa swój typ patriotyzmu za wrodzony i naturalny. Sądzi, że nie podlega nigdy żadnym sugestiom politycznym, że wystarczy być wiernym po prostu biało-czerwonej fladze, że to wyczerpuje wszystkie możliwości ustosunkowania się do spraw nowego kraju.

Świat zastany przez nas był jedynym dopuszczalnym gatunkiem świata. Zdawało się nam, że ustroj, w którym żyjemy, jest jedynie wyobraźny — że naszym zadaniem będzie tylko potęgowanie jego dobrych stron. Przyjmowaliśmy na słowo taki a nie inny wygląd Ojczyzny, nie podejrzewaliśmy wogóle istnienia innych form społecznych i ustrojowych. Wszyscy Polacy kochają się, wszyscy Polacy są wolni, wszystkim Polakom będzie coraz lepiej.

Prezydent państwa, wódz narodu, to były jakieś dożywotnie rangi, związane z pięknymi charakterami tych ludzi — tytuły na zawsze. Że mógłby te stanowiska objąć kto inny (o czym wiedzieliśmy z konstytucji) było czymś bolesnym i nie do wiary. Cała nasza tkliwość wiązała się z tymi ludźmi. Nie przychodziło nam do głowy, że ich nazwiska to były znaki ideologiczne określonych tendencji politycznych, określonych programów. Że te programy mogły być zmienne i że naród nie był monolitem społecznym. Wierzyliśmy w jakąś potworną, a-intelektualną jedność wszystkich Polaków.

Dzieje Polski płynęły dla nas jedną żyłą przez wszystkie wieki; w okresie niewoli żyła ta tętniła podskórnie, ale zawsze była tą samą, Polskość to było właśnie to. Zywiliśmy mił nagiej Polski, tej, która sama przez się była już światopoglądem.

Jakieś pretensje społeczne w łonie tego samego narodu były brzydkie, niepatriotyczne. Wierzyliśmy w jedność wszystkich Polaków, w błogość wspólnej polskości, doznawaną przez wszystkich.

Była cokolwiek endecja, dość namacalna, nie ganany mi gruncie poznańskim, zdarzały się koleżanki powtarzające bezmyślnie endeckie porządki swych domów. Ale szkoła średnia ogólnokształcąca włączała umiejętnie te właśnie nastroje jako nie klasowe, a zastrzegające kontur klasycznej, narodowej miłości Polski i wzór tego oficjalnego patriotyzmu zapadł głęboko w młodzież — trwa aż do dziś, wyznacza stosunek do dokonanych przemian społecznych.

Cały zespół wyobrażeń szkoły złożył się na nasze przerażenie przed komunizmem. Komunizm to była dla nas negacja życia, dobro bytu, kultury. Komuniści to ludzie, którzy nie chcą jadać, mieszkać, tworzyć literatury, zakładać rodzin, hodować kwiatów — ludzie posepni, bezbożni, niemoralni.

Nasza ignorancja co do Związku Radzieckiego równała się tej nienawiści. Katolicka aura szkoły zakładała z góry taki stosunek do spraw sowieckich. Nawet bardzo inteligentna młodzież nie zdobyła się w tej dziedzinie na własne zdanie, gdyż równała się to zagrożeniu całego jej systemu wartości, systemu o pozorach prawdy ludzkiej i polskiej. Uczono nas historii — nie rozumiem do dziś, jak potrafiliśmy łączyć kult Kościuszki i Mickiewicza, radykałów polskich i radykałów Rewolucji Francuskiej z miłością dla przeczących im ludzi i zdarzeń. I tym bardziej nie pojmuję, jak udawało się to naszym dojrzałym wykładowcom. Zdawało się, że czynią wszystko, by zapewnić ras o tożsamości zasług Kościuszki i Piłsudskiego. (Bo obaj „kochali” Polskę, obaj o nią walczyli). Załowaliśmy chłopów w historii i robotników Konopnickiej. Ale ta litosć nie prowokowała do żadnych bystrzych spojrzeń na teraźniejszość. Beztrosko nie dostrzegaliśmy poprostu klas społecznych. Nasza wewnętrzna przychylność dla „ludu” miała świadczyć o ludzkości i niwelacji różnic społecznych. To było nowoczesne i ładne. Zdawało nam się, że ta uroczna „bezklasowość” wewnętrzna rozwiązała już dawno w Polsce wszystkie zależności między posiadającymi i upośledzonymi. Nie zobowiązywało nas to do niczego, do żadnej obiektywnej działalności, do żadnej rewizji sytuacji społecznej.

Była u nas zgoda na istniejącą Polskę, aprioryczna zgoda na wszystkie jej posunięcia polityczne. Cokolwiek czynił Beck, natychmiast znajdowaliśmy na to tysiące patriotycznych uzasadnień. Radość z powodu Zaolzia obowiązywała tak samo, jak pójście do comiesięcznej komunii. Każdy inny układ sentymentów byłby niepolski i gorszący. Ten dualizm religijno-narodowy był substancją naszych dusz. Licytowaliśmy się w wewnętrznych wartościach, w uczuciowym nasileniu tych dwóch wiar. Szkoła kształtowała nas umiejętnie. Nie wywierała niby oresji politycznej, ale była polityczna par excellence. Była polityczna w sposób naturalny, była polityczna tak jak jest się poprostu

kobietą czy kaktusem. Była polityczna organicznie. Jeśli nie dawała bezpośrednich dyrektyw politycznych, to i tak nasyciała poglądami właściwymi sobie. Byliśmy uzasadnieni: jej klimatem, całą tą szkolną sytuacją, a nie jakimś tam szkolnym komentarzem. Jak w dobrej powieści.

Spółecznie byliśmy w gimnazjum dość jednorodni. Rekrutowaliśmy się prawie wyłącznie z środowisk mieszczańskich. Dzieci urzędników, nauczycieli, oficerów, kupców, przemysłowców, naukowców. Nieliczni uczniowie pochodzący ze środowisk proletariackich dociągali się gorliwie: umiejętnie do panującego stylu rozmów, ubiorów, poglądów. Uważali to za nieodzowny awans. Mówię o gimnazjum ogólnokształcącym. Ceniłmy siebie wyżej niż uczniów szkół kupieckich, krawieckich i innych typów zawodowych. Pelegnowaliśmy swe wnętrza bezinteresownie, bardziej po intelektualnie. Wzbogaciliśmy nasz potencjał kulturalny, podczas gdy oni uczyli się dla pracy doraźnej, zarobkowej. Poehniałmy ten grzech pogardy, bo umiłowaliśmy typ własnej inteligencji — autonomicznej, nieutilitarnej.

Widzę tu potrochu źródło kaprysów i niechęci pewnych grup młodzieży wobec dzisiejszej instytucji kursów wstępnych, wobec młodzieży chłopskiej i robotniczej nieuposażonej w ten bezinteresowny polor tradycyjnej szkoły ogólnokształcącej.

Harcerstwo było organizacją wymarzoną dla tego typu mentalności. W pewnym sensie było zawsze grą w próżni społecznej — grą w świecie jakichś niepowiązanych z sobą społecznie jednostek ludzkich, które należało doskonalić i wypięknąć. Cała liturgia kostiumów i znaków harcerskich była ucieczką w dziedzinę malowniczej fikcji i przygody. Zachwalane formy harcerskiego współżycia grupowego były zawsze jakby współżyciem społecznym „na niby”. Pomoc harcerzy dla ludności (akcja żniw, opieka nad dziećmi wiejskimi itp.) była jednak tylko charytatywnym wyżywaniem się, satysfakcją wyłączone moralną. Populiarność harcerstwa jest typowa i zrozumiała w młodzieży, która nie rozumie obiektywnych powiązań społecznych i nie zamierza wpisywać swej pracy w roboty planu narodu. Była ona organizacją oportunistyczną ideologiczną, właśnie dzięki swej ideologicznej pojemności. Tradycje harcerskie bronią dziś dostępu do organizacji takich, jak ZWM, których realny program, bezpośredni udział w życiu kraju i czynne zanurzenie się w rzeczywistości, wydają się wulgarnie i poziome. Harcerstwo pielęgnowało naiwność i infantylizm społeczny młodzieży, dreptało wokół spraw wtórnych, luksusu wewnętrznego. Wiem dobrze, że charakteryzują niecałą młodzież przedwojenną, mówię prawie wyłącznie „o młodzieży gimnazjum ogólnokształcącej”. Tam właśnie dostrzegłam i współprzeżyłam wymienione nastroje, dojrzałam populiarność harcerstwa, jako organizacji niezbednej, dopełniającej konsekwentnie obraz szkoły. Doświadczylam sama na sobie powagi harcerstwa, jego dbałości o sprawy mej doskonałości osobistej, tysiąca sztucznie wywoływanych prób doświadczenia naszej sprawności — wtedy gdy życie powinno być naturalnym terenem konkretnych doświadczeń, nawet dla społeczeństw dziecięcych.

Wybuch wojny, problematyka okupacyjna nie wyostrzyła jeszcze politycznego słuchu młodzieży mieszczańskiej. Niemcy były przede wszystkim najeźdźcą, a nie państwem ideologii faszystowskiej; zbirem, mordercą, ale długo jeszcze nie było to dla nas wynikiem kapitalistycznego ustroju imperializmu. Sprzymierzeńcy i wrogowie tej wojny kojarzyli się dla nas dowolnie na zasadzie irracjonalnych wrogości międzynarodowych. Długo nie widzieliśmy starć ideologicznych tej wojny. Długo młodzież mieszczańska nie znała znaków rozpoznawczych prawdziwych demokracji. Wierzyła (i wierzy jeszcze jej część) w amerykańskie gawędy o demokracji. Wierzy w istnienie demokracji, niepopartych gwarantującym: wolę ludu stosunkami ekonomiczno-ustrojowymi.

Wielu z nas udało się douczyć, zrozumieć pewne rzeczy. Oceniamy dziś prawidłowo swą przeszłość zrozumieliśmy historię, znaleźliśmy radość i dojrzałość. Skończył się dla nas okres maligny. Nie uczestniczymy w historii jak w transmitowanym z dala słuchowisku. W miarę sił próbujemy na te historie wpływać i to jest bardziej szlachetne i ambitne niż snucie „szlachetnych” watków w krainie wyimaginowanych problemów.

Naszkicowałam taki mały, osobisty pamiętnik psychologiczny, pamiętnik mego środowiska. Zdać mi się, że ta część młodzieży dzisiejszej, która z trwogą i niechęcią patrzy na kształt nowej Polski jak na bluźnierstwo przeciw tej minionej, gdyby sięgnęła do wspomnień domowych i szkolnych odkryłaby swą zależność ideologiczną od określonych sanacyjnych instytucji i wpływów. Zdemaskuje wtedy i może opłacie własną bezmyślność, niedokładność i żalosne śmieszności myślenia. Zapraśnie może myśleć samodzielnie, uczciwie i krytycznie wtedy zyska piękny i ludzki światopogląd. Zgarnie złoży w logiczny wzór rozspaną i absurdalną dotąd wiedzę o świecie.

Pamiętam dobrze.

Klęmens Oleksik

PRÓBA ELEGII

Dla ciebie piszę, matko moja.
Odeszłaś, do ostatniej chwili schylona nad balią.
Dziś mogłabyś odpocząć. Jeden z twych synów
uczy w gimnazjum dzieci stryja.
Józek pracuje w fabryce w Radomiu —
Piotr, wiemy, zginął. Umarł Janiszewski.
Ja tu, w Poznaniu, z daleka od domu
spoglądam często na rodzinny błękit
i czczę cię wielce, Mario, wyrobniczo.
Czasem do rubryk pytają: czyj syn — skąd pochodze,
a ja się wtedy niepewnie uśmiecham,
że jestem synem Marii i Wojciecha.
Jeśli o krok poszedłem dalej — jak pragnęli —
wiem, że dziś mogłoby ich to uweselić.
Często myślę o wszystkich seminarjach swoich:
kromka chleba w kieszeni na wiano do szkoły —
pastwiska: święty wiosny w kaczęcych i jaskrach
i smętek samotności na ulicach miasta.
Klasztor, potem Warszawa przyswojona w trudzie.
Trymestry ciężkie: rozmaici ludzie..

*

Zwęszyłem zapach świeżej kapusty:
poezja, na Skarbowej wśród białych obrusów
uwija się panna Elżunia: kocha się w studencie z prawa.
Idzie właśnie. — Boże, jak pięknie pannie Elżuni w tym czepku.
Głębszy talerz zupy i deser po brzegi filiżanki.
Wiosna przyjdzie po trzecim trymestrze:
zapomni się o szewcu, krawcu, o węglu, —
gwizda zakochaną piosenkę
kolega student.

Tadeusz Muras

LIST MIŁOSNY Z WAKACJI

Lato w Złakowic sianem pachniało jak zwykle.
W tym roku ptaki śpiewały nawet obficie.
Niebo —
album nim tylko wyklej,
by się pamiątką ze wsi na całe miasto szczyścić.

A jednak z domu nie wiozę żadnych wierszy,
by Ci wieczornej darować trochę zorzy.
Lecz zamiast słońca i muzyki świerszczy
niosę Ci ze wsi wiązkę reportaży.

Spójrz na tytuły: „Wici”, „Spółdzielnia”,
„Dom Ludowy”, „Budowa drogi z zarośli”...
Więcej się ciesz, bo wieś moja pełna
Motorów i elektryczności

Gdy przyjdzie wreszcie czas pracy na nas,
pojedziesz z mną razem.
Wsi mojej zaniesiesz sama
domów piętrowych krajobrazy.

Za miastem
pewno nie będziesz tęsknić nigdy;
nasz teatr stanie do wszystkich festiwali.
Wieś nasza — nie tylko plug i widły.
To ludzie — którzy pracować będą z nami.

Tadeusz Chrościelewski

JEGO UNIWERSYTET

Pamięci Mietka Jankowskiego —
żołnierza — bohatera — niedoszęłego
studenta.

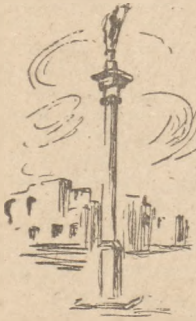
Mój uniwersytet nie ten gwarny
Co gwiazdą światel w asfalt bił,
Lecz nocny i bezmiernie czarny
Ścieżysk wsuplanych w mrok i pył,
Czas, gdy pod najniklejszą gwiazdą,
Pełen sztabackich jeszcze ech
Pod kul chrzęszczących szedłem jazgot
Gdyż była „wsypa” i był pech.
Tak mnie z poszyciem czterech lasów
Związało czworo marnych lat
I nie bywało innych wczasów
Nad szorstką darń, gdzie drucha kładł...
Biel audytorium — płachta śniegu,
Colloquium wiele — w mokrym rowie.
Gdym broń zaciskał palców brzegiem,
By bystrą, trafią dać odpowiedź.
Pod Łatowiczem i pod Czarkiem
Składałem — osowiały mruk
Krótką mą pracę magisterską.
Nie weszła w akta..

Późny wnuk
Jej nie odgrzebie...
Cóż to, dzwon?

— To wielki zbliża się egzamin..
Długom się uczył, wielem zlamal,
Hycel mi pięści kładł na szramach,
Aż gratulować przyszedł zgon
Tytułu mego...

Ojciec siwy,
Mawiałeś tak: „Twa młodość pływa
W dostatku, synu, w twoje laia
Jam się z cuchnącą biedą bratał,
A jeśliś w górę dziś się wzbil,
To stąd, żem kul ze wszystkich sił,
A polibuda — to nie tercet..
Ojciec, jam cięższy uniwersytet
Wybrał, by syn Twój a mój brat
Nim liść mnie wgarnie, a mrok zetrze,
Na jasne karty oczy kładł,
Nie patrzył w las, a w ciepłym swetrze
Słuchał na sali białych światel
Katedry,
oby kul
Jak ojciec, co się zgarbił w pół..
Lecz... nie dla siebie.

Warszawa, w październiku 1947 r.



Odrodzony w 1945 roku Uniwersytet Warszawski rozwinął się dziś tak dalece, że mamy tu nowe wykłady obok przedmiotów tradycyjnych, odziedziczonych jeszcze po programach przedwojennych. Mnie, jako zaawansowanego nieco w studiach prawnika, interesuje najbardziej wydział prawny. Teologii mieliśmy w tymże Uniwersytecie do czasu wojny aż cztery, z nich dwie — Starego Zakonu i prawosławną — unicestwiła niemiecka okupacja, każda w inny sposób i z innych powodów. Student prawa, humanistyki czy też teologii nie wyka nigdy nosa w obręb dyscyplin matematyczno - przyrodniczych. I na odwrót — student wydziału matematyczno - przyrodniczego czy medycyny nie głowi się specjalnie nad tym, do czego służy nasza wiedza. Mój naukowy światopogląd jest tego samego gatunku. A to jest pewnie źle, bo słyszałem, że ostatnie odkrycia atomowe postawiły dotychczasowy podział nauk na ścisłe i humanistyczne pod wielkim znakiem zapytania.

Gdyby mnie kto zapytał ilu jest np. na wydziale prawa U. W. studentów chłopskiego pochodzenia, nie umiałbym podać liczby nawet na oko. Znam kilku, no może kilkunastu, lecz ta ich chłopskość, jak i moja, nie jest w uniwersyteckim środowisku cechą wyróżniającą. Nie kryjemy tego, ale także nie manifestujemy, bo i po co. Czy „Zetwumowcy” lub „Zetemesowcy” dzielą się między sobą podług pochodzenia na członków robotniczej (I-szej) i nierobotniczej (II-ej) rangi? Ja nigdzie nie należę, nie jestem „Wiciarzem” i — szczerze mówiąc — nie noszę określenia „Inteligent chłopski” względnie „Inteligent chłopski” w tym jest coś upakarnego. Takie mieszczkańskie komplementy, klepanie po ramieniu, że niby... tego... swoją własną pracą doszedł... i że trzeba być dlań z wielką pobłażliwością. Jeżeli jeszcze przed wojną nazwa ta nosiła znamiona rewolucyjności to obecnie jest, według mojego zdania, dyskwalifikacją ze względu na kryteria wcale nie społeczne a intelektualne. Po prostu nie chcę być gorszy, albo nawet inny od reszty inteligentów i po to właśnie uczę się.

Prof. Natalia Gąsiorowska - Grabowska będzie miała na wydziale humanistycznym U. W. wykłady pt. „Sprawa społeczna: chłopska i robotnicza w epoce nowoczesnej”. Moi przyjaciele, nazywający siebie „agrarystami”, widzą w łączeniu sprawy społecznej chłopskiej i robotniczej niebezpieczeństwo przyćmienia problemu chłopskiego przez „zaprzyświeżoną marksistkę” Gąsiorowską. Może to i prawda, że tej uczony bliższe są zagadnienia robotnicze niż chłopskie, lecz to zawsze lepiej dla chłopów, że tak będą o nich uczyć, niż rozklepywać i rozmyślać ich nowoczesną historię podług starego szablonu, w rodzaju np. „dzieje wsi w Polsce i gdzieindziej”.

Słuchacze naszego wydziału rozróżniają wykładowców na nim profesorów w ten sposób. Jedni, przedwojenni, tradycyjni naukowcy i nowi powojenni czyli marksiści. Podział ten wydaje mi się niedokładny, zgola fałszywy. W poczekaniu „nowych” znajduje się bowiem stary Grabski Stanisław a prof. Gintowt - Dziewałowski ma podobno trzęsce jeszcze nazwisko, które wstydliwie ukrywa. Marksistą jest na pewno Henryk Świątkowski, profesor - minister i być może, że także prof. Nowiński oraz prof. Rozmaryn. Z postępowym ruchem ludowym jest jak najmocniej związany prof. Jaroszyński. Nie mogę też stanowczo twierdzić, że pośród przedwojennych profesorów warszawskiego prawa nie ma przedwojennych marksistów.

O reformie rolnej w Polsce będzie u nas wykładał prof. Świątkowski.

Teraz pytanie na marginesie. O ile nasi uczeni są „wielkimi w tajemniczością” a o ile wychowawcami i nauczycielami narodu?

Akademik

Poznań, 26. II. 1939.

Kochany Jureczku!*)



Jak podobają Ci się buty, czy są wygodne? Szewc zaklina się, że na czas je wysłał, nie wiem, czy to prawda. W każdym razie dobrze byłoby, gdybyś do mnie napisał cokolwiek. A może obraziłeś się o tę scysję na stacji? Chyba nie. To byłoby nierozsądne. Co

ja jestem winien, jak kobieta się pali... Ale mniejsza o to. Za to mam pozdrowienia od Basi. Czy pamiętasz ją jeszcze? W tydzień po Twoim odjeździe przyszła do mnie, a zastała Wacka, który odrzucał sobie dogodził na niej, później przychodziła dzień w dzień do nas. Przychodziła tak długo, aż się nie znużyła i zabroniła mi Agacie w ostry sposób wpuszczać ją do domu. W międzyczasie był u nas Władek. Opowiadał o Basi, że jest jej pewien, że go nie zdradza i że w ogóle ona go kocha. Śmiałyśmy się obaj w kulak. Chciałem mu powiedzieć, ale by się zamartwił. A on jej narobił sporo fotografii, masę pracy i zachodu w to włożył, a ona nam je podpisywała i ofiarowywała „W dowód pamięci”. Zemsta jest rozkoszą bogów...

W ostatnią karnawałową niedzielę urządził...*) List ten pochodzi z przedwojennego środowiska „złotej młodzieży” endeckiej.

LISTY AKADEMICKIE

Poznań, 12. X. 1947.

Kochany Wiesku!

Ala Bradształowa, wspinała się zjawając. Już w czwartek rano przybiegła zziębnięta do mnie i przerywanym ze wzruszenia głosem zaprosiła wszystkich moich znajomych ze mną na czele. Ano radio sobie kupiła podobno, panienki będą, chcą tańcówkę urządzić... Zgodziło się... Zjawiliśmy się jak należy o umówionej godzinie. Jedynie Wacek próbował jeszcze swych kunsztów na pewnej młodej i bardzo przystojnej osobce, więc oświadczył mi uprzejmie, że się spóźni albo wcale nie przyjdzie. — O piątej Wojtek, Janusz i ja stanęliśmy w obliczu plejady przeświełych panienek: tej kulawej, Julii i Kazi. Poczuliśmy się nieswojo. Julia na pewno nie z przypadku przyszła... Achtung! niebezpieczeństwo!

Zapewnie zdziwił Cię ta moja domyślność, ale ponieważ nie umówiliśmy się z nią na następne spotkanie wtedy, gdy razem byliśmy w Simie, ona bombardowała mnie swymi listami. Miałem podstać coś złego przypuszczać: wniosek — unikałem jej, jak tylko leżało to w granicach przyzwoitości. Przed samą kolacją zatańczyłem z Janką K. lambeth walka, trochę tańczyłem z Kazią i raz z tą koślawą. Poza tym siedziałem przy radio. Przy stole usadziła nas razem z Julią. O Boże! jak ona była miła, kochana, serdeczna — to tylko ten oceni, kogo chciała zdobyć. Chciała gwałtem wspólne talerzki, pić z jednej szklanki, zaproponowała jej wzamian, żebyśmy zjedli wspólnego faworka i poza tym milczałem zawzięcie. Gdy wstawaliśmy już prawie od stołu przyszedł Wacek. Sygnał: trzy dzwonki i już byłem przy drzwiach, przedstawiałem go i wprowadzałem w towarzystwo. Dali mu kielbasę z kapustą, a mnie do towarzystwa szklankę herbaty. Pytałem się, co go tu sprowadziło? — Ano, to jego bóstwo, ta ślicznotka jest dziewczęcą.

Po kolacji ciotka bierze mnie na stronę i pyta się czy gniewam się na Julię, bo przecież zawsze się lubiliśmy (sic!), i ona nas kocha (sic!), i chciałaby żebyśmy się kochali (sic!). Mój Boże! ma 60 tys. dolarów w posagu! Zwoluję naradę wojenną. Nic nie uradziliśmy. Postanawiam lawirować dalej... A więc przeprosiłem Julię za moje zachowanie na wieczorku, przeprosiłem za to, że nie odpisywałem na jej wzruszające listy i — zatańczyłem z Kazią. To jej było za wiele. Wstaje, podchodzi do nas, łapsz mnie za rękę i mówię słodzikim głosem, że obiecałem z nią tańczyć. Tańczę, trudno... a ona znowu wzięła mnie na stronę (biedna moja męska pleć) i o czymś mówię czule, bardzo czule, ja nie słucham i wodzę wzrokiem płaczącym po sali; wołam Janka. Janek wszczął intelektualną rozmowę. Interesująca, jak tylko Janek potrafi. A ja zdala obserwując, zważałem jeno na to, by ciągle być razem. Wreszcie Julia idzie do domu. Janek dostaje na tramwaj i odprowadza ją hen! aż na Abisynię. Poczciwy Janek.

Ciotka znowu do mnie z pretensją: jak mogłem tak martwić dziewczynę, dlaczego nie odprowadziłem jej? Ja jej na to: „Julia, moja droga ciotciu, nie nadaje się na żonę, bo ma zły charakter, a tym bardziej nie nadaje się na kochankę (tak powiedziałem), bo jest do tego stopnia brzydka, że wstydziłbym się z nią na ulicy pokazać. A po drugie widziałem, że Janek się w niej zakochał. Nie mogłem koleżce przeszkadzać. A po trzecie: czy to nie ja odprowadziłem Julię, skoro Janek aż złotówki zażądał za ten chwalebny czyn? Zasiadłem do brydza. 60.000 dolarów przepadło... Janku! niech Bóg broní pisać o tym do domu. Rodzice mogliby mieć pretensje do Bradształów o to. Wolę sam opowiedzieć, jak już będę musiał. Wolałbym jednak nie mówić.

Czy wiesz o zajściach w Gdańsku? W sobotę, w południe otrzymaliśmy depeszę, że pobiło kilkunastu studentów — Polaków. W tym 8-miu ciężko. Niemcy zdobywali, przez trzy dni szturmem Polską Bratnią Pomoc, na pomoc przybyło 150 studentów z Królewca. Była masakra. P.A.T. tamuje i łagodzi. Jak może — podaje fałszywe i niezgodne z prawdą wiadomości. Ponieważ w sobotę było już jedno walne zebranie, urządzono drugie o godzinie 12 w nocy. Chodziłem po Poznaniu do drugiej w nocy, wreszcie wróciłem z Wackiem do domu. Co dalej działo się — nie wiem.

Uchwalono nazajutrz rezolucję, stwierdzającą bojkot honorowy i towarzyski Niemców tak długo, aż gdańszczanie przeproszą Polaków i na politechnice nie zaistnieją normalne warunki.

To byłoby wszystko, a co u was się dzieje? Jest jaka reakcja?

Odpowiedz Twoja, którą do Hanki wysłałeś, bardzo się Wackowi podobała. Powiada on, że jej nie mogła się nawet przyśnić podobną odpowiedź. Z drugiej strony ona też bardzo głupio napisała do Ciebie. Mówię to, chociaż czytałem ten list przed wysłaniem nie chciałem poprawiać...

Odpisz mi, jak tylko będziesz miał czas. Ukłony dla Zbyszka.

Uściski zasylam

Lodek

Albo niech profesorowie zechcą zerwać z dotychczasowym systemem kurczowego trzymania się swych metod nauczania, które jeżeli nie utrwalone na papierze, nie prędko wchodzi do skołatanych głów. Ale to są tylko plany i słowa, słowa.

2) Życie społeczno - organizacyjne kształtuje się w ramach legalnych organizacji studenckich.

Naczelną organizacją studencką jest Bratniak oraz Caritas Academica, powstałe dla spraw samopomocowych.

Mniejsze organizacje akademickie można podzielić ogólnie na 2 typy. Jeden typ to organizacje o zabarwieniu politycznym, a drugie to koła naukowo - samopomocowe.

Problemy natury społecznej nurtują młodzież akademicką słabo. Dyskusje nie są różnorodnie i mało dla Poznania charakterystyczne. Tak samo jak gdzieindziej walczy się tutaj poprostu marksizm i neokatolicyzm etc. Nie wiedzie tu prymu studium socjologii, jakby tego należało się spodziewać.

Z innych zagadnień społecznych bardzo żywo obchodzą studentów sprawy np. organizacji studiów. Niech świadczy o tym fakt dokładnego opracowania programu reformy studiów lekarskich przez studenta Machowskiego.

Pomysł został przyjęty przez ogólnopolski zjazd kół medyków i przedstawiony Ministrowi Oświaty. Domaga się w nim Machowski uprządkowania i przystosowania się do obecnych warunków i potrzeb studiów wyższych.

Niektórzy profesorowie dbają o społeczne nastawienie swych wykładów.

Upomina się prof. Dega o „stacje naprawy motorów ludzkich” o specjalną ustawę dla chorych nieuleczalnie i chorych z wadami wrodzonymi.

Również wykłady prof. Janschera z chorób dzieci nie są pozbawione aspektu społecznego, czego nie można powiedzieć o wykładach z położnictwa, a przecież położnictwo specjalnie powinno być rozpatrywane ze społecznego punktu widzenia.

3. Życie intelektualno - artystyczne wśród studentów wyznacza przede wszystkim charakterystyczny dla Poznania kult dla muzyki. W żadnym mieście koncerty symfoniczne nie cieszą się takim powodzeniem, jak w stolicy Wielkopolski. Dobrze postawiona Opera jest tego wyrazem i namacalnym dowodem.

Teatry zaś mają wpływ na młodzież nieco mniejszy, a problemy wysuwane ze sceny rzadko są podstawą dyskusji i sporu.

Dosyć chyba, jak na pierwszy list.

Całuję Cię mocno, Wiesku

Stach

Kraków, 12. X. 1947.

Leonardzie!



Wybacz mi, że przez tak długi czas nie odzywałem się, ale zajęty formalnościami związanymi z przeniesieniem się na Uniwersytet Łódzki z Jagiellońskiego, nie miałem dostojnie ani chwili wolnego czasu.

Dziś chciałbym nawiązać do naszej dyskusji na temat życia uniwersyteckiego w Krakowie.

List będzie nie o całej młodzieży krakowskiej Almae Matris, ale o pewnej tylko grupie, która przed wojną stanowiła blisko 80% studentów, a i dziś obsadziła Wszechnicę Jagiellońską w większości. Jest to młodzież ze środowisk: szlachecko - ziemiankiego i tzw. „wolnych zawodów”, czy prywatnej inicjatywy — jak to się dzisiaj mówi.

Sto lat temu głosiła ta młodzież liberalne hasła wolności, równości i braterstwa. Walczono na ulicach miast Europy o równouprawnienie i postępową — jak na tamte czasy — konstytucję państwową.

Znam częściowo z książek, częściowo i z opowiadań mego ojca — socjalisty, — młodzież akademicką Petersburga i Warszawy. Wystarczy zajrzeć w pamiętniki L. Krzywickiego, aby przekonać się, że akademicy szli zawsze pierwsi do walki o socjalizm. Nawet z historykami p. Moszczeńskiej i Morozowskiej wnosiłem, że studenci zawsze bili się z uciskiem aparatu państwowego, rządami arystokracji, czy reakcji.

I dziś spora część akademików walczy o demokrację i socjalizm. Ale nie „ziota młodzieź” najstarszej w Polsce uczelni. Trzyma się ona jeszcze nadal przebrzmiałych mitów o potrzebie misji niestępa na Wschód Europy zachodniej cywilizacji. Dzieje się to w atmosferze dysput nad pojęciami zła i dobra, ustawionymi nie w płaszczyźnie historii ustrojów społecznych, ale na wyabstrahowanej od życia społecznego płaszczyźnie filozoficznej.

Niewątpliwie działa tu konserwatywno-katolicka atmosfera tego grodu - dziwadła. Mówię Ci, wierz mi, że te tysiące poszłyby chętnie pod wodzą biskupów na Jasną Górę, aby Opatrzność pobłogosławiła tam sprawiedliwy mściciel Chrobrego i kastet.

W tamtych roku dyskutowano namiętnie pośród młodzieży sprawę obrony autonomii szkół wyższych. Wszechnica Jagiellońska boi się upolitycznienia swego życia w imię czystości nauki. Nie chce wycyznaczać tu dyskusji na ten temat, ale pomyśl: ta negatywna postawa młodzieży wobec obecnego ustroju społecznego — to nie polityka?

Słynne zajęcia krakowskie — to także nie polityka? Właśnie za autonomią ukryta młodzieź utrzymuje wyraźną polityczną postawę negowania wysiłków narodu w jego walce o nowy sprawiedliwy ustrój społeczny.

Patrz tylko, co Ci wiecej katolicy zrobili z mitem Chrystusa! Zajrzyj tylko do rozma-

tych knajp. Znajdziesz tam zawsze tych wrogów demokracji i obrońców godności człowieka.

I przy tym wszystkim zdaje mi się, że są nadal pierwszą klasą społeczną, niesłusznie pokrzywdzoną przez ustrój. Trudno, żeby wyznawcy teorii rasowych hr. Gobineau, Chamberlaina, czy Rosenberga, gdzie demokrację nazywa się rządami hołoty — mogli się zgodzić na równość społeczną z synami chłopów i robotników. Poczucia równości nie uczą przecież sżtywni i chłodni profesorowie, którzy właśnie pogłębiają koniunkturę na odrębności klasowe.

No i takie z tego rezultaty, że z uczelni krakowskiej wychodzą doktorzy nauk odizolowani od rzeczywistości społecznej, którzy wielką nieraz wiedzę zaprzepaszczają, nie umiając jej użyć społecznie.

Mój list do Ciebie, jest częściowo spowiedzią. Ostatecznie i ja uprawiałem po knajpach antypaństwową propagandę. I mnie się zdawało, że prawdziwe życie narodu płynie na czarnej giełdzie. Wyobrażasz sobie z jaką radością piszę Ci, że krakowski okres moich studiów — skończony.

Twój
Zdzisław.

Lublin, 28. IX. 1947.

Mój Kochany!

Ciekawi Cię atmosfera naszej lubelskiej uczelni, a właściwie naszych uczelni, bo są aż dwie, jak w żadnym mieście. Nie wiem, czy tkwiąc w tym po uszy zdołam się zdobyć na taką dozę obiektywizmu aby rzeczywistość o czymś Cię poinformować. Ale spróbuję. Jeśli nie znasz Lublina, nie nie zrozumiesz. Bieguną Lublina są z jednej strony Katedra i Katolicki Uniwersytet, z drugiej — targ i stacja kolejowa. Jest to miasto księży i handlarzy, miasto dewotek i spekulantów, miasto dobroczynności i wyzysku. Tu zewsząd utartymi w ciągu okupacji szlakami dążą, wyjeżdżają i przyjeżdżają ludzie o zaniedbanym wyglądzie zewnętrznym, ale mocnej strukturze moralnej, mocnej na tyle, aby torować sobie drogę łokciami i językiem w przepelnionym wagonie, ludzie bez zachodu nie handlując.

Struktura ekonomiczna miasta zawiera zdaje mi się wiele nienormalnego. Magistrat nie jest w stanie zapobiec ani szeregającej się nędzy, ani dać wszystkim pracę. Przy stacji ludzie zarabiają, czasem noszeniem bagażu, dostarczaniem przyjezdnym noclegów. Głębiej w mieście drobnym wypięciem ciastek, jak w czasie okupacji gdy robili to panie z dobrych domów. (Zresztą nawiasem mówiąc i dziś były ziemianki lubelskie, piekac ciastka, mają w tym powód do chluby, że jednak nie ich klasy nie zdołało zgniebić do końca). Trudnią się ludzie przeróżnym pośrednictwem, a dopiero potem pracą w fabrykach związanych tu wyraźnie z rolnictwem i od niego zależnych.

Jest więc także to miasto — miastem chłopów, dziś przede wszystkim miastem uczącej się młodzieży chłopskiej.

Młodzież żyje w ciężkich warunkach. — Brak burs, mieszkań, brak domów akademickich, wszyscy zarobkują pracą dodatkową, która tak wreszcie pochłania że zajęcia uniwersyteckie zaczyna się lekceważyć. Wszyscy tu „chodzą na uniwersytet”, mało kto uczęszcza na wykłady i seminaryja.

Zresztą nie wykłady i nie seminaryja decydują o atmosferze uniwersyteckiej, bardziej może duszpasterstwo akademickie i najczynniejsze z organizacji Sodalitja Mariańska, Caritas itd.

Dyskusja o lasce bożej uświęcającej lub uczynkowej niewątpliwie kształtuje sprawność; umysłowe studentów, utrwala określone nawyki myślowe. W żarliwości tej atmosfery katolickiej rywalizują ze sobą oba uniwersytety. Jeden prawniczy i humanistyczny, drugi raczej wyspecjalizowany w naukach ścisłych.

Nie jest to oczywiście najważniejsze. W po dobných środowiskach opinia liberała czy bezbożnika jest wcale przyjemna, stwarza nimb indywidualizmu, inności. Wierzący mają zawsze jakiś bezradny kult dla postawy buntu. Gorzej jest jeśli ta atmosfera wdziera się do pracowni i sal wykładowych.

Może innym razem napiszę ci coś o humanistycznej retoryce zresztą w dobrym stylu i z tradycjami, o deklamacjach — na kulturalne tematy.

Dziś chciałbym napisać Ci o czymś, co niewątpliwie będzie dla Ciebie prawdziwym wspomnieniem o pewnym curiosum, czyli o dwóch przedmiotach obowiązujących wszystkich humanistów. Są to: etyka i psychologia. Myślisz, że nic w tym dziwnego. „Kuźnica” w każdym numerze drukuje Garandiego piszącego o moralności, a psychologia jest nauką, która najbardziej może zawiodła idealistów i fideistów nauką niemal przyrodniczą empiryczną. Etyka jednak jest wykładem tylko i tylko etyki katolickiej z wyraźnym polemicznym nastawieniem wobec innych systemów, zaledwie dopuszczonych do istnienia. Coś jak Contra gentiles Tomasza. Bardziej polemiczny także niż empiryczny charakter ma wykład psychologii, który nie zadawała się podaniem stanu badań naukowych, lecz zawsze pamięta stwierdzić, jaka postawę zajmuje wobec tych badań — kościół katolicki. Nie wiem czy sadziś, że sprzyja to wyrobieniu wiary szacunku dla nauki, dla nauki. A przecież tu mówię, że najwlecej o czystej nauce o obowiązkach akademika katolickiego, polegających na dążeniu do wiedzy, do prawdy dla niej samej a nie dla dożadnej korzyści kariery czy przydatności społecznej. Wykład etyki katolickiej obowiązujący wszystkich studentów bez względu na ich przekonania religijne. Hoduje u nas ten

wygodny dziś moralizm, zrzucający z siebie odpowiedzialność za doraźne sprawy.

Przy tym właśnie uniwersytecie rozwija się „Studium społeczno - ekonomiczne wsi”, które Cię tak interesuje.

Jest to młody zielony pręt na zmurszałym, jak mi się wydaje pniu uczelni. Narazie nasiąka on jeszcze atmosferą ogólną, ale powtarzam Ci — Lublin jest nie tylko miastem księży i spekulantów, jest też miastem młodych chłopów. Mam nadzieję, że ze studium wsi wyjdzie rewolucja lubelska. Działajcie więc, umacniajcie się teoretycznie i ideologicznie, wnoście wojnę chłopską na Katolicki Uniwersytet który pamięta przecież i inne wojny studenckie — z mieczami.

Ja tymczasem wróć do mego Ianciusa. I ten był chłopem.

Franek

Wrocław, 13. X. 1947.

Drogi Klemensie!



Nawiązując do naszych osobistych dyskusji odbywanych na marginesie obrad zjazdu rytwiańskiego, chcę Ci dzisiaj odpowiedzieć szczegółowiej.

Zacznę od polonistyki, zareczam Ci, że będę mówił cały czas sine ira et studio, możliwie w tonie beznamietnego sprawozdawcy.

Wierząc mi jednak, że to bardzo trudno. Nie wiem, jak się sprawy mają na innych uniwersytetach, może częściowo lepiej a częściowo tak samo, jak u nas. To znaczy — źle. Nie myśl znowu, że jest to sąd potępiający w czambuł całą polonistykę wrocławską. Owszem i u nas mówią do rzeczy. Ale widzisz, co tu jest zasada. Jak wygląda wykład z historii literatury? Mówi się np. o Mickiewiczu. Otrzymujesz może analizę, twórczość p/sarza w powiązaniu z konkretnym tłem społeczno-historycznym, krytyczny rozbiór jego dzieł wolny od przesładowych Cię z gimnazjum komunaliów? — Nie po stokroć nie — odbywa się misterium, odprawia się wielkie nabożeństwo do św. Mickiewicza. Przede wszystkim prawie cała nasza literatura, a wiesz-czowie w szczególności; to święci zesłania z nieba dla głoszenia ludziom prawdy, dobra i piękna. Poezja to wieszczbiarstwo, poeta to płański „boski mąż”, przez poezję sięgający szczytów poznania, pośrednik między nami a wiecznością. Twórczość jego wypływa z natchnienia, a natchnienie to źródła, które bije wiecznie i daje światły „szzał”.

Na prawdę! Poeta w interpretacji profesorskiej, to jakaś Pytia, lykająca odurzające dymy nad szczyłina delficką.

A jak ma się sprawa z teorią, z poetyką? O niej w ogóle nie nie słyhać, a od tego należałoby chyba zacząć. Po ukończeniu polonistyk, nie będziesz wiedział, jak się brać do krytyki literackiej. Tak, mój kochany, sprawa jest na prawdę poważna. Pocziesz się, że nasi następcy doczekają się może jako wykładowcy dr Jana Kotta, my tymczasem módlmy się o zwycięstwo myśli ścisłej — empirycznej i racjonalnej. Ale a propos dr Kotta. Ołóż we Wrocławiu odbywają się czwartki literackie organizowane przez ruchliwe i aktywne Koło Miłośników Literatury i Języka Polskiego. Na jednym z niedawnych czwartków gościł właśnie J. Kott, bojownik o nowy realizm, Czwartki mają bez wątpienia duże znaczenie dla rozbudzania życia kulturalnego we Wrocławiu, o czym świadczy chociażby duża frekwencja. Czwartki mają przeważnie charakter literacki, ale czasem i naukowy. Czwartki rozpoczęły w lutym 46 r. mają już dzisiaj za sobą dorobek złożony z 74 wieczorów. Do tego zaczyna się dołączać od 30.6.47, poniedziałki u literatów organizowane przez tutejszy Oddział Z.Z.L.P. — Tak więc widzisz, że strawy duchowej dla miejscowych entuzjastów literatury nie brak. Mam tu wszyscy nadzieję, że intensywna praca Koła nie pójdzie na marne i zainteresowanie literaturą zacznie zalać szersze kręgi, jakkolwiek reprezentowały je na czwartkach nazwiska od Lasa do Sasa. Dąbrowska Andrzejewski, Kowalska, Zukrowski, T. Borowski, Truchanowski, Mach, Szewczyk, Baranowicz i inni, a nauce Kreutz, Mikulski, Kowalski.

Pisząc o życiu kulturalnym Wrocławia nie sposób nie wspomnieć o „Zeszytach Wrocławskich” kwartalniku literacko-krytycznym redagowanym przez T. Mikulskiego i A. Kowalską, o naszym święto upaństwowionym teatrze Dolnośląskim, który rozpoczyna własną sezon „Cyrułikiem Sewilskim” Beaumarchais’a, o Instytucie Śląskim, badającym zabytki polskiej tej ziemi. Czy nie uważasz, że właśnie przez to związanie nauki ze społeczeństwem i żywą problematyką społeczną, a społeczeństwa z nauką wiedzie droga ku temu, co nazywamy nowym typem kultury? I tego się chyba doczekamy, chociaż katedr, z których głosi się aeronautykę mis’yczna, ta nowa kultura nie wyjdzie.

Wladek

Łódź, 22. X. 1947.

T a d k u !

Znamy Twoje wiersze, drukowane w piśmie młodzieżowym i dowiedzieliśmy się, że w tym roku przyjdzieś na łódzką polonistykę. Skrytykowałyśmy mocno Twoje wiersze i jednocześnie ucieszyliśmy się, że zyskamy z Tobą i z wielu Twoimi kolegami bezpośredni „zawodowy” kontakt.



już w tym roku

Twoja historia była dla nas pretekstem do szerszej dyskusji o tym, czy nasza polonistyka spełni wasze nadzieje i czy da nam wszystkim do ręki narzędzie dla przyszłej pracy badawczej w/g naszej diagnozy szybciej znacznie ulegnie zmianie skład socjalny młodzieży studiującej, niż dobór sił naukowych. Pomyśl, że Ty i na pewno wielu Tobie podobnych w ciągu dwu lat niepodległości nadrobiliście kilkuletnie zapóźnienia w swym wykształceniu, teraz startujecie do nauki uniwersyteckiej. Tymczasem wykształcenie nowej siły naukowej potrwa co najmniej dziesięć lat.

Na uniwersytecie wytwarza się paradoksalna sytuacja, która jest odbiciem zapóźnienia nauki wobec postępu społecznego. Audytorium „ludowe” będzie karmione nieżywnymi antynomiami mieszczańskiej nauki; uniwersytet zaśmleca umysły koncepcjami naukowymi, które mają wartość omal wyłączenie zabytkową.

Szczególnie sytuacja na humanistyce jest tragiczna. Na medycynie na przykład łatwiej znacznie krzewią się najnowsze osiągnięcia, które są dorobkiem obcych naukowców. Tymczasem sobie ten stan natychmiastową sprawdwalnością i praktyczną przydatnością medycyny.

Tymczasem u nas dotąd jeszcze są głoszone ex cathedra poglądy i metody, żywcem przeniesione z podręczników liczących sobie pół wieku. W badaniach literackich panoszy się nadal psychologizm i nieociosana biografistyka. Zresztą anegdota o uniwersytecie można by wiele przytoczyć (pytanie profesora, skierowane do studentki polonistki: „Jakie ptaki występują w „Grobie Agamemnona”?).

Przy dotychczasowym prawodawstwie uniwersyteckim nie było żadnej nadziei na jakiegokolwiek odwiezienie atmosfery naukowej polonistyki uniwersyteckiej. W reorganizacji wyższego szkolnictwa uwzględniono zmiany w sposobie habilitacji. Długo jeszcze trzeba będzie czekać, aby ośrodki naukowe pozauniwersyteckie nie były bardziej atrakcyjne niż naukowcy na uniwersytecie. Naturalnie, nasze pesymistyczne uwagi nie odnozą się do całej humanistyki. Niektóre inne sekcje są w szczęśliwszym położeniu. Uniwersyteckie placówki są oparciem dla studentów w ich niespokojnych poszukiwaniach (np. ośrodek socjologiczny czy filozofia).

My sami przyszlizmy na uniwersytet z dobrą wiarą w autorytety naukowe i z ochotą do najpełniejszego czerpania wiedzy (od literatury assyryjskiej). Naśl zachowujemy podziw dla erudycji gromadzonej przez wiele lat. Ale też wyzbyliśmy się wszelkich złudzeń co do jej przydatności i nowocześnieści.

Nie urodziliśmy się tak genialni, aby samodzielnie podjąć tę krytykę. To, co dały nam lata studiów polonistycznych zawdzięczamy w największej mierze frapującym publikacjom powojennym i osobistym kontaktom z poza — uniwersyteckimi ośrodkami twórczej myśli naukowej.

Dopiero teraz z perspektywy 2 lat widzimy jaką rolę spełnia w naszym rozwoju praca zespołowa. Wyrwani z gimnazjów i z systemu gimnazjalnego nauczania, byliśmy wszyscy omal równie zdezorientowani i zagubieni w rozmiarach problematyki naukowej.

Rzuciliśmy się wówczas na pracę w Kole Polonistów. Z początku skupialiśmy się w jednej z sekcji Kola — w sekcji badań literackich. Potem zajęliśmy się organizacją całego Łódzkiego Kola Polonistów, bowiem przykładamy wielką wagę do samodzielnich, zorganizowanych studiów młodych polonistów.

Pamiętamy, ile zrobili w dziedzinie unowocześnienia naszego studium Koło Warszawskie, w latach międzywojennych. Wydało ono niewiele rozpraw które jednak są trwałymi pozycjami w dorobku naukowym (Budyk, Hopensztand, Siedlecki, Zółkiewski i inni). Związki te były tym żywsze, że czuliśmy się bliscie ideologicznie grupie warszawskiej.

Rozpiliśmy się na temat naszego zespołu, ale wiąże się w nim najwięcej naszych osiągnięć i nadziei. Nigdy nasza grupa nie była ekskluzywna. Pragniemy ją rozszerzyć i więcej znacznie zrobić, niż w zeszłych latach, w których dopiero się kształtowała. Czekamy na Twój przyjazd do Łodzi i spotkanie w naszym gronie — na polonistycę.

Merka i Zygmunt

Kurowice, 22. X. 1947.

Drogi



Nie pisałem do Ciebie prawie od roku. Wiele się złożyło na moje milczenie, między innymi matura i okres wahanja — co z sobą robić dalej?

Beztrósko płynęły lata nauki w naszym chłopskim gimnazjum w Szczekocinach. Jakże inaczej przedstawia się nowy etap życia, w który wstępujemy! Droga z gimnazjum prowadzi na rozdroża gdzie darmo szukać drogowskazów. I dopiero teraz, kiedy przychodzi coś być, działać, grać jakąś rolę w społeczeństwie, mogę już dobrze ocenić co mi dało gimnazjum. Znam wprawdzie piękne cytaty naszych wieszczów: „mierzyć siły na zamiary” i umiem „cierpieć za miliony” ale nie umiem cierpiącym milionom pomóc. Wiem jak wygrywała bitwy szlachcka konnica. Jeszcze dziś jedzą za w kawalerkę młodzi chłopci do sąsiedniej wsi. I takiego konika dosiedli nasz profesorowie i wychowawcy, częściowo nawet ty — „kiedyś nas uczył, choć nie przeczę, że i piechotą po chłopskiej

drodże chodziłeś. Nie gniewaj się, moja trudna w tej chwili sytuacja — zmusza mnie obejrzeć się w minione lata i szukać tam wytłumaczenia.

Mówiliśmy nieraz, jeszcze jako partyzanci A.K. o naszej pracy kulturalnej na wsi. Nie dziwi się, mój zacny belferze — ale choć zostałem nauczycielem ludowym — pod Łodzią, nie umiem sobie skonkretyzować mojej działalności społecznej wśród chłopów. Brak mi narzędzi oddziaływania, poprostu nie wiele umiem — ja — prymus gimnazjum. Że jest źle, że chłop biedny, oświata nie zupełnie upowazeczniłona, brak spółdzielni, szkół zawodowych dla odpływających ze wsi — to ja wiem i bez szkoły, jak każdy chłopski syn.

Któregoś dnia byłem na zebraniu „Wici” we wsi, w której uczę. Jak śpiewali przed wojną tak i dziś śpiewają wiclarze. No, ale jak przyszło układać program pracy związanej z rzeczywistością — ręce mi opadły. Nie mam dostatecznej wiedzy, więc zostało po staremu. Kupiłem sobie kilka książek, takie jak „Historia chłopów” — Świętochowskiego, „Dzieje chłopów” — Sreniowskiego czy „Drogowskazy” Króla. Lektura nauczyła mnie wiele, ale pomyśl: po to siedziałem w chłopskim gimnazjum, żeby drugie tyle lat douczyć się elementarnej wiedzy o dziejach swojej klasy?

Postanowiłem studiować na uniwersytecie w Łodzi. Słyszałem, że jest to posępowa uczelnia. Bardzo mi zależy, żeby właśnie na takiej uczelni studiować.

Bo widzisz — znam już trochę studentów, szczególnie humanistów, którzy przyjeżdżali do domów w Szczekocinach po kiełbasę i, żeby się trochę widokiem łąk nad Pilicą odświeżyć.

Tacy gadają tylko na moście i przy zachodzie słońca. Opowiadali mi że są bardzo rozwinięci duchowo. Chodzą do teatrów, na koncerty, gdzie sobie sublimują, czy jak tam — ducha, ale tak naprawdę to widzę, że oni do niczego nie należą, za nic nie odpowiadają a o wszystkim sadzą.

W Łodzi zapowiada się inaczej. Poszedłem piechota — 15 km na egzamin i spotkałem się z przyjemną niespodzianką. Nie wdziałem ci już paniczek, którzy godzinę otrępywali; by rękaw, gdyby się chłop o nich otał. Gdyby wprawdzie mamy nie pięknie, no ale ostatecznie wszyscy wiedziliśmy na egzaminie „co tam panie w polityce”. Daruj rozżargnienie. Zapomniałem Ci napisać, że o ile mnie przyima, będę studiował ekonomię.

Spytasz skąd takie gospodarze zainteresowania?

Opowiem Ci wobec tego pewne zdarzenie. We wsi, gdzie ucję, zamiast wygłosić kazanie, nawoływał z ambony ksiądz dobrodziei do kopania kartofli na plebanii. Ta czynność gospodarza jest na pewno potrzebna. Ale widzisz, — chciałbym w dziejach społeczno-gospodarczych znaleźć rację dla plebana nawołującego do odrabiania nowej pańszczyzny. Mógłbym księdzu pomóc, bo go ludzie nie bardzo chcą słuchać.

Zdaje mi się, że uniwersytet uzbroi się wreszcie w narzędzia społecznego oddziaływania. Jest moim marzeniem założyć we wsi wzorowe koło „Wici”. Na następne zebranie Cię poproszę.

Bądź zdrow

Edek

Paryż, wrzesień 1947.



Kochana Anno. Wszystko co piszesz, bardziej niż jakiegokolwiek posłanie z kraju przypomniło mi o powojennych polskich bolączkach. A ja tu już tak się niegdzi. Tam, jakby nie było nie poza moim pasywnym, stale gotowa na nową kąpiel, na nowe laskotanie kultury, na nowe pobudki, których przyjemność nie zmniejsza się jakby tego chciały elementarze moralne, ale rośnie. Oto masz w tym obrazie wspaniały w swej klinicznej typowości przypadek, który usprawiedliwiłaby zakaz wysyłania „narybku kulturalnego” na zgnyły Zachód. Tłukłabym głową o ścianę, gdyby taką kierunek polityki wygrał w Polsce. Wierzę, że mimo wszystko nie zgłupiałam na Zachodzie na koszt stypendium państwowego.

Wiara w sens, co się u nas w Polsce dzieje nie zaczyna mnie bynajmniej opuszczać. Ale zrozumiałam nasze zdarzenia w kontekście europejskim z całą podwójnością. We Francji toczy się potężna walka za i przeciw inwazji amerykańskemu. Jedni widzą w tym ocalenie francuskiej kultury, drudzy zgubę. Poza tym silna liczebnie partia komunistyczna — ale o swoich, odrębnym wyrazie. Można by więc trochę głupkować ale nie bez słusznego podzielił Francuzów na: U.R.S.S., pro. Etats Unis — i wreszcie rodzimych ksenofobów „konserwe anarchiczna”, jak ich tam ktoś nazwał zwolenników samowystarczalności; kulturalnej, wyrobów Lambberta, który im dłużej się kwasi, tym lepszy.

Moja miła, cokolwiek by przeważało — nie nie pozabawia tych najpotworniejszych nawet mieszcuchów z prowincji; swoich świadomości kulturalnej, świadomości historycznej, która nie da się na nic po marksistowsku przeliczyć, ale daje temu narodowi; olbrzymie fory, możliwości eksperymentu, swoista tolerancję nie do znależenia, gdzie indziej. I to często obok głupoty dbałości; wyjątkowej o brzuch chorobliwej ateńskiej skłonności; do czys’ego „wyzwolonego” egadulstwa. Daleka jestem od adoracji francuskiego bourgeoisie, ale pełna wściekłej, dorobkiewiczowskiej zawiści wobec tej arystokra-

tycznej rasy, której nawet reforma rolna, ani kolchozy nie zdały wytrącić spod nóg drobku dziejowego. Są sprawy w kraju, które zaczynają mnie przejmować dreszczem: polityka kulturalna.

Znasz mniej więcej mój „zarys pobytu” — prawda? Wiesz, że byłem przez miesiąc we Włoszech. Teraz siedzę od miesiąca w Royamont, starym gotyckim opactwie przerobionym na ośrodek kulturalny dla kulturowych darmozjadów. Znadto tu pięknie na jakiekolwiek rozmowy o reformie. Jutro wracam do Paryża... Obciążona międzynarodowymi znajomościami, całym piekłem narodowościowych „bezkompleksów”, trochę przynięcioną poczuciem naszej stałej misji dziejowej, bez której tak beznamiętnie żyją sobie wszyscy inni. Twój list pełen jest podskórnej „woli”, „czynności” — „stał”. Za jaką cenę można odzyskać taką postawę? Oczywiście za cenę realnej pracy.

Jaka jest teraz pozycja P.P.S. po zjeździe komunistycznym w Warszawie? Jak jest kurs na literaturę? Pisz mi, moja droga!

Jul.

Moskwa, w marcu 1947.



LISTEM DOKOŃCZONA ROZMOWA

Cegło dalekiej Warszawy
Znaczona śladem kul
I wy partyzant prawy —
Jan Aleksander Król.

Dym z waszej fajki przesłania
Mdlawe malunki na ścianach —
— Słysz „drobne pytania”
w kraj mój nacelowane.

Pytajcie. Jakoś odpowiem.
Nie jestem tu przecież gościem.
Starczy nam dla tej rozmowy
tematów, słów i szczerości.

Gdy takich dwóch się dobierze,
Gdy oko z okiem się zetrze —
dosyć gadania w numerze!
Za mną — na świeże powietrze!

Dniu piątki powszedni!
Weź nas w obroty! I spraw,
byśmy za strażą twą przednią
puścili się konno i wplaw.

po grudzie, w ubraniach mokrych
(toście przecież nie mieszczuch!) —
Sioop! — oto Uralski Okrąg
plawi się w żyznym deszczu.

Kości od marszu boją,
Lecz nie darenne to trudy.
Nasz współtowarzysz - geolog
natrafił na złoża rudy.

Cóż stąd, że w życiu on częściej
znajdował nie kruszec, lecz sól?
On teraz dostąpił szczęścia,
szanowany kolego Król!

Może pan być spokojny.
On wie, czego chce w tej chwili.
— Ci, co wygrali wojnę,
wiedzą, o co walczyli!

Naprzd! Pójdziemy śladem
spraw piątki zwyczajnych
— Jak idzie geolog na zwidy
szukając złóż złotodajnych.

Nową partię młockarni
dostali z Moskwy Baszkirzy,
turbiny klejnoty czarne
rzeki na siebie niżą.

Ropa naftowa pod świdrem
bulgoce w Azerbajdżanie,
Syberia jeszcze przed świtem
ruszyła na polowanie.

Ostrożna ręka w kolchozie
słomą owija ul,
I górnik z kopalni wychodzi.
Smotrić, kolego Król!

Od potu jego i znoju
Ruda broczy posoką,
On dźwignął ojczyznę swoją
Na serca własnego cokół.

Pasja go twórcza porywa,
Co mu zmęczenie czy ból?
— Oto szczęście prawdziwe!
Paniatno, kolego Król!

Co rzec wam na pożegnanie,
gdy ściskam dłoń waszą bratnią,
— ostatnie „drobne pytanie”?
— a raczej życzenie ostatnie:

Zostańcie u nas na dłużej,
aby nam przyrzec się z bliska,
by Wielkiej Polsce powtórzyć
Wielką Prawdę rosyjską.

Wiktor Urin
(tłum. Jerzy Pomianowski)

Paweł Antokolski*)

O poezji, wychowaniu młodych i kulturze

Tłum. Tadeusz Chróścielewski

Pewnego razu z jakiegoś tam powodu Puszkina rzucił podstępnie, czy też figlarne zdanie. Zdanie to stało się powszechnie znane i ogromnie często je komentowano, jak zresztą wszystko co kiedykolwiek wielki poeta powiedział. Oto ono: „Poezja, wybaczenie mi, musi być prosto głupia”.

Cała życiowa działalność Puszkina, jego oblicze duchowe, droga poetycka — to dowody czegoś wręcz przeciwnego. Pomimo tego, że Puszkina „żył i myślał”, niesamowicie dużo wiedział. Cała twórczość jego była eks-tensywna, ustawicznie wymagała paliwa nowych wrażeń, podróży, książek, znajomości, uczenia się nowych języków, sporów z przeciwnikami, kontaktu z życiem, z historią, z przyszłością. Puszkina to pionier kultury swoich czasów, egzegeta, badacz i głosiciel. A pomimo to zdanie o poezji „głupiej” niejednokrotnie komentowano jako testament Puszkina i traktowano jako swoiste „grzechów odpuszczenie” dla niezliczonej masy talentów poetyckich. „Poezja głupia” — Co to znaczy? Po prostu: Poezja niezależna od sankcji intelektu — tego najwyższego stopnia działalności duchowej. Ona żyje życiem własnym — wewnętrznym. Oto, bardzo znana piosenka, która dźwięczy nie rzadko i dzisiaj, a w niedalekiej przeszłości powszechnie panowała u nas i w poezji zachodnio-europejskiej. Poezja początku XX w. rozwijała się pod znakiem wyzwolenia z pod tyranii logiki i zdrowego rozsądku. Surrealiści i dadaiści okrzyknęli pochód krzyżowy przeciw przemocy semantyki. Ociec dekadentyzmu Verlaine w utworze sztandarowym: „Sztuka Poetycka” wykrzykuje:

Jak najwięcej muzyki, wystrzegaj się niebezpiecznego dowcipu, wiarołomnego rozumu, kalającego śmiechu, co łzami napelnia oczy jasnego lazuru — wystrzegaj się całej drańskiej, śmierdzącej czosnkiem kuchni. Urwij łeb hydrze krasomówstwa. Jeszcze raz — powiadam — muzyki! — Wszystko reszta — to piśmiennictwo”.

Przeciw czemu zrywa się gniew francuskiego poety? Od jakich to nieznośnych prawideł się oswobadza? To człowiek, przesycony krasomówstwem poprzedników, które sprawiło, że jednak poezja stała się działaczką-rewolucjonistką, niezbędną dla życia narodu.

Oto dlaczego nakazuje Verlaine utożsamiać poezję z muzyką. O to dlaczego wypęda z niej jak diabła jasność i logikę. Wszystko to, co uważa się za pseudo-literaturę, publicystykę, rzemiosło, prozę, plugastwo — bezczeszczące ową mowę bogów, jaką powinna być poezja. Oswobodź, oczyść oczy lazuru, aby nie tylko były bezchmurne lecz i bezrozumne. Wystrzegaj się skrzeku rzeczywistości — oto program francuskiego poety...

Tow. Zdanow w swoim niedawnym wystąpieniu jeszcze raz postawił radzieckiej sztuce, a przede wszystkim poezji i literaturze twardo i zdecydowanie postulat służby narodowej, zajęcia stanowiska na linii ognia w walce ideologicznej. Poezja nasza, jak również wszelkie inne rodzaje sztuki, winna być poezją wojującego światopoglądu. A żeby tak być, musi przede wszystkim posiadać ów

*) Paweł Antokolski, ur. 1896, wybitny poeta sowiecki. Utwory: „Poezje” — 1922 „Wiersze i Poematy” — 1934. W zbiorze pierwszym zestawia rewolucję październikową z francuską, w drugim szczególnie cenny dramat o Villonie oraz obrazy z życia dzisiejszego Kaukazu. Antokolski łączący w swej twórczości pewien umiarkowany romantyzm i klasyczną dbałość o formę z żywym odczuciem rzeczywistości.

T. Ch.

„Wiersze i Poematy” — 1934.

W zbiorze pierwszym zestawia rewolucję październikową z francuską, w drugim szczególnie cenny dramat o Villonie oraz obrazy z życia dzisiejszego Kaukazu. Antokolski łączący w swej twórczości pewien umiarkowany romantyzm i klasyczną dbałość o formę z żywym odczuciem rzeczywistości.

T. Ch.

Lech Budrecki

„TRAWA JEGO OPISU”

Coraz głośniej zaczęło się robić ostatnio dokoła t. zw. powieści katolickiej. Pisał Kisielowski, pisał Jakimiak. Ostatnim z tego cyklu rozważań był artykuł J. Dobraczyńskiego umieszczony w „Dziś i Jutro”. Pośród twórczości beletrystycznej 2 tylko typy książek zasługują na przyimiotnik katolicki. A więc po pierwsze powieść „realistyczna”, mająca referować konflikt łaski i grzechu, zawierając równocześnie „sformułowane bariery dobra i zła” (Interesująca metafora!), po drugie utwory dotyczące problemu jak najściślej związanego z religią, problemu świętego. Przejrzyjmy katalog powieści, spójrzmy, co nie zasługuje na potępienie i co nie podlega ingerencji szatana. Balzac, Stendhal, Cervantes, Zola, wszyscy działali za sprawą diabła. Nie zajmowali się przecież ani konfliktem łaski i grzechu, ani problemem świętości. To ostatnie zagadnienie poruszał wprawdzie France, wątpię jednak w to, iżby Dobraczyński zachwycał się „Tais”. Katolicy nie lubią sceptycznych mieszczan. Gdzie więc jest realizm katolicki? Tieding nie pasuje. Sterne i Smollet też. Może więc przyjdzie ogłosić na łamach katolickich pism ankietę pod hasłem „Palmy klasykom”. Starzy ojcowie literatury nie czytali widocznie wskazań o „tworzywie znajdującym się w nas i tylko w nas”, o tym, że „wystarczy zwykła miłość” i o konieczności „wejścia w siebie”. Obawiam się, że nie czytali świętego Augustyna, z którego mądrość ta się wywodzi. (Za nadzwyczajną ścisłość językowa tycheż cytaty biskup z Hippony nie ponosi odpowiedzialności). Stąd też nie wiadząc, iż „źródła zła nie znajdują się poza człowiekiem, ale w człowieku”, nie pamiętając

światopogląd. A więc czy może być „głupia”?

Przenigdy!

Poeza musi być politykiem i filozofem i historykiem i w ogóle człowiekiem znającym się na wielu rzeczach, znawcą dusz ludzkich wrażliwym i wszechstronnie uzbrojonym działaczem — i to działaczem nie w deklaracjach, lecz w samej twórczości.

Wszystkie żywotne tradycje rosyjskiej (a zaiste, wielkiej) poezji potwierdzają, że taka poezja nie tylko jest osiągalna, lecz że właśnie taka jest jej generalna droga. Od Lomonosowa do Puszkina, od Lermontowa do Błoka, od Niekrasowa do Majakowskiego ciągnie się ta gwiazdzista sztafeta. Pokolenie przekazuje pokoleniu poezję rozumną, intelektualną, treściwą, przodownicę kultury, zwalczającą wszystkie uroczne nierozsądky.

I kiedy Majakowski wykrzykuje:

„Jak śmiesz nazywać się poetą?

I ćwierkać jak szara przepiórka?

Dzisiaj trzeba nam kastetem

Krajać światy w czerepach.

Podobne oburzenie czuli niegdyś nasi działacze lat sześćdziesiątych.

Wielki poeta rewolucji nienawidził poezji skowronkowej i jej głupoty.

Wydać mi się, że w ostatnich latach jaśniejszy i wyraźniejszy niż inni sformułował zadania takiej poezji młody poeta Michał Lwcow:

Pod czyją władzą poeta?

Gdzie kończy się jego swoboda?

Czym on jest poddany?

Przed kim ma padać na kolana

I poprawiać się?

Jest poddańcem swego pokolenia

I Prawdy Wieku — Prawdy Prawdy

I nie może sarknąć

Na bieg życia i na swój okres

I wtedy wiersz będzie się rysował w duszy Odrazu w kształcie gotowym do druku.

Ostatnia myśl — w tych wierszach to doskonała odpowiedź tym twórcom, którzy dzieła poezji na pisaną „dla siebie” i „do druku”. Lecz pozwólmmy mówić dalej poecie:

„Nie dla poklasku

Nie dla chwilowego nastroju

Dajmy do wiersza jasnego.

Gdybyśmy nawet chcieli pisać kwieciste

To poprawi nas Wiek - realista

A na naszym miejscu

stanie sto milionów realistów.

II.

Z jakiej byśmy strony nie podeszli do zagadnienia wychowania młodego pokolenia literackiego, czy chodzi o jakąś specjalną uczelnię, jak np. Instytut Literacki w Moskwie, czy o bezpośrednią opiekę starszego pisarza nad początkującym, czy o jakąś jeszcze inną formę wychowania, włącznie z konsultacjami i grupami przy redakcjach, zawsze główną naszą troską będzie codzienny i systematyczny ogólnokulturalny rozwój młodego pisarza.

I zbyt wczesna profesjonalizacja i zamiłowania osobiste i szereg innych przyczyn, które tak trudno wymienić — wszystko to powoduje zjawisko wchodzenia młodego pisarza czy poety w życie przy bardzo jednostronnym przygotowaniu.

Zna świetnie technologię swego rzemiosła, umie na pamięć ulubionych autorów-klassyków i współczesnych, doskonale orientuje się we wszystkim, co dotyczy literackiej „codzienności” — ale jego horyzont myślowy jest węższy niż ciasny. Cóż on widział w życiu? Gdzie mógł ten horyzont rozszerzyć? Wszystko to odkładał na jakąś abstrakcyjną przyszłość, do niespełniającego się jutra.

I oto „jutro” dawno już zmieniło się we „wczoraj”, początkujący ma już pod trzydziestkę i jest do szpiku kości zawodowcem, drukuje w bardzo grubych pismach i gazetach — wydał już tomik. — A spróbujcie no go wyegzaminować z matematyki, logiki i historii. Czy czyta z księgi nieba? Czy rozumie szepc fali morskiej? Najniebezpieczniejsze jest to, że przewczesna profesjonalizacja doprowadza do rezultatów zupełnie różnych niż te, jakich się spodziewaliśmy. Parnas jest jak wiadomo górą stromą i śliską. Wielu z tych, co to rozdrapałszy kolana do krwi wspięli się na nią we wczesnej młodości po zdobyciu piętrowej spadalnej głowy na dół. Powinęła się im noga. Brak jakiegś innej dodatkowej specjalności, nieprzyswajanie do pracy czyni z nich wykończonych.

Mniejsza w tej chwili o ich dramata życiowe, który jest więcej niż straszny. Dla każdego pisarza, jak chleb i powietrze, niezbędny jest dopływ żywego materiału, żywych doświadczeń życiowych. A możliwości na to daje, i nie może nie dać jakaś druga specjalność inna praca. Niedarmo Czechow i Wieresałow byli lekarzami, Lomonosow — znakomitym przyrodnikiem, Szchedrin — dzielnym administratorem. Szewczenko — artystą-malarzem, Lermontow i Lew Tołstoj — kadrowymi oficerami. Ilu arcydzieł nie mielibyśmy w naszej literaturze, gdyby Ogniew i Makarenko nie byli pedagogami, Krymow i W. Grosman — inżynierami. Niżej podpisany otrzymuje wiele listów od młodych lekarzy czy techników, przedstawicieli innych zawodów — bardzo poważnych i wysoko cenionych w naszym państwie. Autorami są właśnie początkujący literaci. Chcieliby zapłacić za swą literackość i sławę pisarską ceną niepomniernie wysoką, jeśli nie katastrofą: gotowi rzucić zajęcia. Należy jak najmocniej wykazać faszystwo i szkodliwość takiego stanowiska, nie przyjdzie im do głowy, że dopiero ich praktyka lekarska czy inżynierska otwiera najwłaściwszą i najdogodniejszą drogę, by stać się pisarzem samodzielnym, o dużym doświadczeniu — pisarzem, który ma coś do powiedzenia innym. Taka powinna być szkoła poetycka.

III.

„Każdy z nas miał możność poznać w swej istocie dynamikę i styl naszej radzieckiej kultury. Jest to kultura socjalistycznej społeczności; otworzyła ona na zawsze drzwi dla twórczej młodzieży: Wybieraj i szukaj, co ci do duszy przypada.

Twoją drogą — przeszłość i przyszłość! — Oto kara gwiazdzistego nieba! Oto wyczysta płynność Heraklita, oto pekający zbiornik energii atomowej, oto czas i przesłucha Einsteina. Oto cienie szekspirowskich olbrzymów i skrzypcowe chóry Bełhovena! A dobrnij no do bieguna, a próbuj zachwycić oddech w stratosferze. A czy nie stracisz rezonu przed tysiącokilkim audytorium? A czy potrafisz trwać przez całą noc twarzą w twarz z tym rękopisem?

Oto oblicze prawdziwej kultury. Kultura jest zawsze dynamiczna. Jeśli kultura w cudzoziemiu jest konsumcją dóbr, to ta bez cudzoziemiu jest wywarzeniem wartości. Jest ona uduchowiona twórczością wielu sił i talentów, skupionych dobrowolnie i związanych dobrowolnie jednym celem, jednym ideałem. W ten sposób dźwignięto olbrzymie pomniki architektury: Partenony, Kremlie, Katedry gotyckie. Tak kształtowały się nowe rewolucyjne prądy naukowe, filozoficzne, estetyczne. Tak powstają opromienione idea wspólnoty kolektywne, brygady, spółdzielnie. Lecz zadań kultury nie wyczerpuje jedna tylko dynamika wytwarzania wartości, kultura jest zainteresowana w uzupełnieniu kadr, to też zawsze zwraca się obliczem ku nowemu pokoleniu. Symboliczny zaiste obraz tej kultury — to zalane światłem audytorium i gwar młodzieży zapętniającej je rankiem.

Tu oto rodzi się historyczny pałoc kultury, Trosczy się ona zarówno o przyszłość jak i o przeszłość.

I jeszcze jedno bardzo ważne znamie kultury. Kultura nigdy nie była domatorską rozrywką wybranych, nie cierpi dyktantyzmu ni kapryśnego mecenatu. Państwowym teatr, gdzie widzom był pomieszczeń i jego gości, to jeszcze nie kultura, a tomik wierszy dekadenta wydrukowany dla przyjaciół w 500 egzemplarzach to już nie kultura. Malarskie płótna zamknięte w pałacyku kupca są zupełnie wykreślone z kultury.

Wyrwie się z nich na kształt wichru, w momencie, gdy otworzą się szeroko na rozcięcie drzwi prywatnych rezydencji, salonów, amatorskich kolekcji. Wtedy być może nastąpi daleko idąca zmiana ocen i ulica też rzeknie mocne swe słowo. Być może będzie się mylić, lecz zarazem nauczy się na błędach. Z punktu widzenia snobów taki obrót rzeczy nie będzie sprzyjać rozkwitaniu i rozwojowi kultury. Wtedy snoby odchodzą na stronę i czegoś tam czekają. Możliwe, że doczekają się, iż zawezwie się ich czasem jako arbitrowi eleganciarum, lecz naogół życie nie czeka na nich i przechodzi do porządku dziennego.

Nasza poezja radziecka stoi na linii ognia, wraz z całą kulturą. Weszła w blizsze zbliżenie do rozumu. I to już nie historyczka z burżuazyjnego salonu, nie bezmyślne monstrum ze skrzydełkami z gazy, lecz towarzysząca bronii Majakowskiego, córka wielkiego narodu, wiecznie młoda, z gorącymi oczyma, obdarzona wysokim, dźwięcznym głosem, który chwytą za serce ktokolwiek go posłyszysz.

Franciszek Kuś

P A M I Ę T N I K I

POLSKA KRAKOWSKA 1897

Na wstępie zaznaczyłem, że u Szpelkowej mieszkało nas czterech: ja, Alszner, Gajewski i Krówka, później przybył mi jeszcze kolega Stohandel, szczerzy i serdeczny mój przyjaciel. Utrzymywał się sam, ale oprócz stypendium miał jeszcze dobrze płatną lekcję, powodowało mu się więc lepiej niż mnie.

W polityce cicho było, ale wkrótce zawrzało jak w ulu. Premierem wówczas był Kazimierz Badeni, były namiestnik galicyjski. Wydał on sławne rozporządzenia językowe dla Czech, co pobudziło Niemców austriackich do wszczęcia gwałtownej obstrukcji w parlamencie. Poparli ich socjaliści, głosząc że rozporządzenie to pogwałciło konstytucję. — Niemcy wyszli na ulicę i demonstrowali przeciw Badeniu, który też niebawem podał się do dymisji, a ster rządu objął Gautsch.

Za moim pośrednictwem zaproszono nas na wiec akademicki do sali browaru Johna przy ulicy Lubicz. Ze mną poszedł Skoczynski, Gołabek i Stopandel. Na wiecu tym uchwalono adres hołdownicy dla Badeniego. Z akademików jeden tylko Wojnar, przeciw temu protestował i przypominał badeniowskie gwałty wyborcze i łamanie ustaw. Protest jego zaledwie kilku kolegów poparło i nawet nie był wzięty pod uwagę.

Po uchwaleniu adresu wyszliśmy na ulicę ze śpiewem w ustach. Co chwila rozlegały się okrzyki: precz z Gautschem i śpiewana była piosenka: Do du...y z Gautschem!

Policia towarzyszyła nam w pochodzie, ale nie interweniowała i nie rozpedzała nas, tylko komisarze prosili, abyśmy tak brzydko nie śpiewali.

Przyszedłem po północy do domu i musiałem się jeszcze zabrać do pisania elaboratu z rachunków, który nazajutrz miałem Wójciechowskiemu doreczyć do oceny. Byłem i śpiący i pod wrażeniem nocnej demonstracji, napisałem więc elaborat krótki i niedość starannie.

Utrzymałem ten elaborat z dopiskiem Wójciechowskiego: „Elaborat lichy, świadczy to smutnie o lekkomyślności uczącego. Kandydat nie rokuje nadziei w przyszłości jako nauczyciel”. Pomyślałem sobie wtemczas: „gdybyś ty wiedział, w jakich warunkach pisałem ten elaborat, nie wydawałbyś tak lekkomyślnego sądu o mnie”. Byliśmy tu obydwaj lekkomyślni, ja z powodu elaboratu, on z powodu sądu o mnie. Lekcja, którą miałem z rachunków nawet dość dobrze mi poszła.

Rozporządzenia językowe Badeniego, które Gautsch cofnął, rozpetęły nową burzę w parlamencie. Przyszło do nowych demonstracji po miastach. W Krakowie odbył się olbrzymi wiec z udziałem posłów czeskich. Kontrdemonstrację urządzili socjaliści. Obydwie demonstrujące strony spotkały się w Ryńku, obok odwachu. Jedni śpiewają: „Jeszcze Polska nie zginęła”, drudzy „Czerwony Sztandar”. Byłoby może przyszło do bójk, bo obydwie strony wzajemnie się prowokowały, ale nadjechał oddział austriackiej konnicy i tłumy zepchnął na chodniki. Przeciwnicy ustąpili z pola bez walki.

Krakowowi trzeba przyznać, że nawet demonstrację urządzić umie. Wszystko, co robi, cechuje powaga, a jeżeli zdarzają się i tu wybryki, to tylko dla potwierdzenia reguły.

Za parę dni woła mnie, Skoczynskiego, Gołabka i Stohandla dyrektor do kancelarii. Zapytuje nas, czyśmy byli na wiecu akademickim i czy do Komitetu, który z nas należy. Odpowiadamy, żeśmy na wiecu byli, a do Komitetu wydelegowaliśmy kolegę Skoczynskiego. „Lepiej byście pilnowali nauki — mówi nam dyrektor — coż wy mierzni seminarzyści znaczyć możecie wobec takiego premiera? Radzę wam, wycofajcie się z Komitetu i zaniechajcie wręczania, czy przesyłania jakiegokolwiek adresu do niego!”

Przyrzekliśmy zastosować się do jego rady i wyszliśmy z kancelarii. Po naradzie wysłaliśmy pismo do zwykłego wymienionego Komitetu, iż z łatwo zrozumiałych przyczyn, delegata naszego odwołujemy i sami się z Komitetu wycofujemy.

Kraków przygotowywał się do jubileuszu mickiewiczowskiego i do uroczystości odsłonięcia pierwszego na ziemiach polskich pomnika wieszca. Miasto było wspaniale udekorowane festonami, flagami o barwach narodowych i miejskich. Przed Sukiennicami ustawiono trybunę dla gości, dalej wzniesienie dla chóru, tuż przed pomnikiem trybunę dla mówców i przedniejszych dygnitarzy i gości.

O godzinie dziewiątej odbywało się uroczyste nabożeństwo w katedrze na Wawelu, po którym uderzył dzwon królewski Zygmunt, głosząc Polsce chwale syna, który „za miliony kochał i cierpiął katusze”.

Rynek zapędniał się ludźmi. Na mównicy stanął przewodniczący Komitetu Budowy Pomnika, marszałek kraju, Stanisław Badeni we wspaniałym stroju polskim, tuż obok na trybunie honorowej znakomici goście, między innymi syn wieszca, Władysław Mickiewicz, powieściopisarz Teodor Tomasz Jeż i inni. Chór z kilkuset śpiewaków złożony ośpiewał okolicznościową kantatę, skomponowaną i dyrygowaną przez Władysława Zeleńskiego, po czym na dany znak z pomnika spadała zastona. Odezwał się huragan oklasków, a mowę wygłosił Stanisław Badeni. Wszystkich mów i mówców nie pamiętam, tylko pierwszego: ostatniego Jakóba Bojko, który przemawiał imieniem włościostwa polskiego. Znowu chór ośpiewał szereg pieśni, z wiczy Mariackie” owały się dźwięki pieśni narodowej i zaczął formować się pochód na Wawel, celem złożenia wieńców na grobie wieszca.

Najpiękniejszą, najbarwniejszą i sercu najmiłszą w pochodzie była gromada dzieci szkolnych ze wsi powiatu krakowskiego, ubranych w przesłiczny strój krakowski, z obrotym wieniec z polnych kwiatów. Mali chłopcy w sukmanach podnosili krakuski z pawimi piórami do góry, kroczyli z zuchowatą miną; dziewczęta w krasnych gorsetach i tybetowych spódniczkach niemniej dzierżko maszerowały, a wszystko to stanowiło tak piękny obraz, że człowiek go nigdy nie zapomni.

Już nie zajmowały mnie inne grupy, ani bogate kontusze, czy poważne czamary, nie patrzyłem z taką miłością w duszy i radością w sercu na śmigłe postacie górali podhalańskich, jak właśnie na działawę szkół wiejskich. A przecież i maszerujące oddziały braci szkolnej, jako obraz tężyzny polskiej, napełniać mogły dumą każdego Polaka. A między sokołami polskimi widziało się czeskich i ruskich sokołów, którzy wówczas jeszcze nie hołdownicy takiej nienawiści do wszystkiego, co polskie, jak później i tylko pewne jednostki już wówczas nas nienawidzili.

Nie będę opisywał ani ćwiczeń sokołich, ani dekoracji miasta, gmachów lub ulic, ale wspomnę o zatargu, jaki powstał między mną, a gospodarzem moim, Rusinem Szpelką. Przed wieczorem powiadam mu, aby przygotował okna do iluminacji i kupił świeczki. Odpowiedział mi, że świeczek nie kupi i świecić nie będzie. No to ja kupię świeczki za swoje pieniądze, a świecić się musi, odpowiadam. A ja nawet za pańskie pieniądze świecić nie pozwolę, odpowiada mi gospodarz. To my pana z pańskiego mieszkania wyrzucimy i świecić będziemy, podpowiada mi Krówka. I wkrótce i Stopandel, i Alszner i Gajewski powiadają mi, że w kuchni może se nie świecić, ale my pokój opłacamy, zajmujemy i waramu od rządzenia w nim. Niemci cicho siedzi, bo my się z hajdamakami uporać potrafimy. Widząc naszą postawę, dał za wygraną i ażeby do pokoju nie tracić prawa sam kupił świeczki i sam je zapalił.

STUDENT PĄTNIK

W lipcu 1906 r. udałem się z harbutowską kompanią na odpust do Częstochowy. Ażeby paszport dużo nie kosztował, zorganizowaliśmy rodzinny, a wtemczas taki paszport kosztował niewiele. Ja jako syn Gołonki na nim figurowałem.

Ze wsi wyjechaliśmy furmankami do Krakowa, a stąd pieszo do Częstochowy. Przenocowałem się u Osuchowskich i jeszcze rano nie wstałem, gdy przyszedł brat z pożyczonym paszportem gotowy z nani do drogi.

Z miasta szliśmy za kompanią, dopiero później dołączyliśmy się i już do Modlnicy szliśmy razem. Pierwszy raz w życiu miałem kordon graniczny przekraczać. Jakkolwiek na komorę celną przybyliśmy wcześniej, to na Gołonkę musiałem zacząć, bo przecie jako ojciec miał nasz paszport.

Zaczęła się rewizja pakunków. Mnie, jako takiego pątnika, który, prócz ubrania, nic na sobie nie miał, nie rewidowano, ale Gołonka miał kilka paczek austriackiego tytoniu. Kiedy go strażnik rosyjski zapytał co ma, wyjął wszystkie tytoni i powiedział: „Miałoby wasze państwo skapać, to se to weźcie”. Usmiechnął się na to strażnik i tytoni mu zwrócił.

Jako pątnicy poszliśmy prosto do kościoła parafialnego, gdzie oddaliśmy pokłon cudownemu wizerunkowi Chrystusa, a nazajutrz po nocnym spoczynku byliśmy na nabożeństwie. Wypogodziło się nareszcie i po śniadaniu ruszyliśmy w dalszą drogę. Ponieważ nieco drogi obeszły, mogliśmy chodnikami i ścieżkami błoto obejść.

Weszliśmy w okolicę piaszczystą, widać było miejscami piaski lotne, miejscami już zasłane łubinami lub zasadzone lasem. Po południu wkroczyliśmy do miasteczka Lelowa, którego nazwę nasi na Lelów przekreśli. Natrafiliśmy na jakąś galówkę, bo sklepy były pozamykane, ale przeszliśmy sienią do jakiegoś szynku i tam uraczyliśmy się piwem. Nasz Gołonka wlał sobie więcej niż było potrzeba, bo też, gdy wyszliśmy za miasto i Kasper w imieniu kompanii zęgnął cudowny obraz Matki Boskiej Lelowskiej, Gołonka mu przerywa, mówiąc: „Cekaj Kasper, Gołonka powie dwa słowa”. Zwraca się w stronę miastka i woła: „O Matko Boska Lelowska, wybiłaś Szwedów i Tatarów, wybił te psiekrwie Moskałi i Młemców” i krzyżem padł na ziemię, Kasper się uląkł wzmianki o Moskałach, ale pomruczał trochę i dał spokój.

Jak zwykle wczesnym rankiem zbudził nas przewodnik i ruszyliśmy w drogę. Przed południem jeszcze zdążyliśmy do miasteczka Przyrowa, ale tam nie zatrzymaliśmy się dłużej, bo spieszo nam było do sąsiedniej osady Świętej Anny. Pielgrzymi uważają ową osadę za dalszy ciąg Przyrowa, lecz zarówno na mapie, jak i w rzeczywistości stanowi ona odrębną jednostkę. Słynne cudownym obrazem św. Anny w tamtejszym kościele. Nasza kompania udała się też prosto do kościoła, a oddawszy pokłon cudownemu obrazowi, rozłożyła się obozem na przyległym placu na południowy spoczynek.

Wdałem się w rozmowę z jakimś kacapem, który sprzedawał orzeźwiający napój, zwany krótko kwasem. Smakował on mi wybornie. Kacap ten opowiadał mi, że w czasie powstania styczniowego pełnił służbę na granicy, później dostał posadę w Kongresówce, ożenił się z Polką, żył się z Polakami i ani myśli stąd się wynosić. Miał także jedną harmonijkę, na której pozwoliłem sobie na zagranie: Jeszcze Polska nie zginęła i kilku krakowiaków. Po obiedzie idziemy dalej, ale

że już Kasper pielgrzymkę dobrze czuł w nogach, szliśmy bardzo powoli. Na nocleg mieliśmy zdążyć do Gidel, ale zaledwie do wsi Borowej zaszliśmy. Obydwał z bratem wykopaliliśmy się w rzeczućce, płynącej do Warty i napiliśmy się po szklance piwa. Szynków w mieście tam jest dużo, ale przejdiesz kilka mil, a na wsi piwa się nie napijesz, bo wyszynków nigdzie nie ma, tylko sklepy monopolowe z wódką.

Do Gidel zaszliśmy dopiero na drugi dzień rano. W miasteczku tym są 3 kościoły: jeden zaraz na skraju ogromny kościół pokartuski, dziś parafialny, ma w swych podziemiach zmumifikowane zwłoki przed kilkuset laty zmarłego zakonnika, doskonale zachowane. Dawniej pokazywano je pielgrzymom, dziś władze kościelne, czy świeckie pokazywania tego zabroniły.

Stamtąd udaliśmy się do kościoła dominikańskich, gdzie miesi się maleńki, cudowny wizerunek Matki Boskiej, ponoć przez chłopka z ziemi wyorany. Z dawnych zakonników pozostał jeden jedyny przy życiu zakonnik, rząd bowiem rosyjski po powstaniu styczniowym zabronił przyjmowania nowych członków do zakonu i zniósł nowicjaty, jedynie tylko w Częstochowie paulinom na utrzymanie nowicjatu pozwolił.

W Gidlach spotkaliśmy się z olbrzymią kompanią piotrzkowską, która również do Częstochowy zdążyła. Trzeci kościół, a właściwie kościółek, niegdys parafialny, dziś zamknięty, leży przy drodze do Częstochowy. Tuż obok niego, jako osobliwość, olbrzymi dąb, pamiętający jeszcze czasy pogańskie. Jak głosi miejscowa legenda, pod tym dębem miał jeszcze św. Wojciech nauczać, udając się do Prus. Niestety, dąb ten już wówczas był suchy, bez kory i gałęzi i jedynie suchymi konarami, wyciągniętymi w niebo skarżył się na barbarzyństwo ludzi, którzy po odrobienie nożami maleńkie drzazgi odłupowali i na jakieś lekarstwa używali. Ano, wiara ludzi uzdrawia.

Z Gidel szliśmy cokolwiek szybciej i dopiero w Kłomnicach obok stacji kolejowej zatrzymaliśmy się na dłuższy spoczynek. Tam wdałem się w rozmowę ze studentem gimnazjalnym. Zaczął on mnie wypytwać o nasze stosunki polityczne, ale gdy zauważyłem, że on o przeciwnikach argumentem rozprawić nie umie, że według jego zdania kłótnie partyjne rozstrzygać można tylko przy pomocy browninga, przeprosiłem go i wniósł się w tłum naszych ludzi. W ogóle rozmówienie tutaj politykowskich przechodziło granice mojej wyobraźni; wychowany w państwie konstytucyjnym, przyzwyczajony do zwalczania przeciwnika argumentami, nie miałem pojęcia, co się tu dzieje, mimo, iż dowiadywałem się o nich z naszych dzienników. Wszak u nas na zgromadzenia socjalistyczne przychodzili jezuiti, głos niejednokrotnie zabierali i włos im z głowy nie spadał, podczas, gdy tam z przeciwnikami rozprawiano się browningiem, czy nożem.

Po południu zdążyliśmy na jedno wzgórze, skąd w oddali zamajaczył szczyt wieży kościoła jasnogórskiego. Tam przewodnik wygłosił do pątników mowę, podczas której kobiety płakały. Ja z bratem usunąłem się, aby głębiej Kasprowego nie słuchać i ukryty na między za zbożem położyłem się dla wypoczynku. Przewodnik w swej gorliwej religijnej przesadzie, a w przemówieniach do pątników niekiedy dopuszczał się obrazy ludzkiej, sam siebie za jakąś wyjątkową osobę uważając. Dopiero, gdy kompania w dalszą podróż ruszyła, poszliśmy i my za nią, lecz o jakie 200 kroków przed nią.

W miarę zbliżania się do miasta, spotykaliśmy liczne rzesze robotników, śpieszących do pracy, i coraz więcej fabryk, aż wreszcie koło godziny 10-tej wkroczyliśmy do miasta. Tam wstąpiliśmy do kościoła parafialnego, stojącego tuż obok rynku, po czym szeroką i drzewami wysadzaną aleją Panny Marii zdążyliśmy wprost na Jasną Górę.

Zdziwiłem się też niemało, zobaczywszy na froncie cerkwi prawosławnej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej.

U stóp Jasnej Góry stał pomnik cara Aleksandra II z polskim i rosyjskim napisem. Chciałem go przeczytać, ale przechadzający się tam żołdaci moskiewski odstraszyli mnie od tego, bo ponoć ubiegłego roku zamach bombowy na niego urządzono. Wiedziałem o tym i nie odważyłem się za blisko do pomnika zbliżyć.

Poszliśmy ku figurze Matki Boskiej, stojącej opodal bramy klasztornej, gdzie za pewną opłatą stosowną przemową paulin witał pątników. Staaliśmy i my pod tą figurą i nas też ksiądz powitał i do kościoła wprowadził.

Udaliśmy się prosto do kaplicy Matki, oddaliśmy pokłon cudownemu obrazowi, po czym wyszliśmy z kościoła, aby poszukać sobie kwatery. Umieściliśmy się w jakiejś stodole. Po zjedzeniu obiadowego posiłku, poszliśmy zwiedzać kościół i klasztor. Sam kościół nie wywiera tego wrażenia na pobożnego pątnika, jakie wywierają stare gotyckie świątynie krakowskie. Natomiast kaplica uroczyste człowieka nastraja. Nastój ten jednak jest odmienny od nastroju jaki budzi się w duszy Polaka wkraczającego w mury katedry na Wawelu. Tam budza się uczucie religijne, tu religijne i narodowe; tam człowiek skłania się do modlitwy, tu do rozmyślenia i dumania. Podczas, gdy klasztor częstochowski związany jest tylko z historią Polski z czasów najazdu szwedzkiego i konfederacji barskiej, katedra z całością dziejów naszych. Tam obraz przemawia do duszy chrześcijanina, tu każdy kamycz, każda cegiełka przemawia echem minionej wielkości.

Gdy jedni z Polaków Jasną Górę uważają za najświętsze miejsce w Polsce, zaś inni katedrę na Wawelu, ja staję po stronie tych ostatnich i daję pierwszeństwo katedrze.

Obejrawszy kaplicę kościół i krużganki dokładnie, wyszedłem na plac przed kościołem, gdzie u stóp figury czekała na przywitanie kompania piotrzkowska, ta właśnie, z którą spotkaliśmy się w Gidlach. U stóp tej figury zebrała się młodzież kompanii i ośpiewała głośno pieśń: „Boże coś Polskę”, po chwili dopiero przyszedł ksiądz z klasztoru i w piórnym przemówieniu wskazał na obowiązki Polaka w dobie dzisiejszej. Mowa nastrojona na nutę patriotyczną wywarła na słuchaczach głębokie wrażenie.

Z orkiestrą chórgwami kompania udała się do klasztoru, a ja z bratem udaliśmy się na wały, aby obserwować miasto i okolicę.

W tym samym dniu zwiedziliśmy jeszcze kościół św. Barbary i znużeni poszliśmy spać. Nazajutrz rano poszliśmy na nabożeństwo do kaplicy, gdzie podczas Mszy św. śpiewał chór klasztorny godzinki. Po nabożeństwie i śniadaniu, ja, brat i Gołonka poszliśmy do knajpki na szklanek piwa. Siedzimy sobie zupełnie swobodnie, aż tu nadchodzi jakiś towarzyszy z plikiem gazet w teczce. Przystępuje on od razu do mnie i wciska mi gazetę w rękę. Czytam tytuł: Czerwony Sztandar, Organ partii socjalistycznej Królestwa Polskiego i Litwy”. Zapytuje go, czy nie ma innej gazety. Powiada, że ma „Robotnika”, organ PPS. Biorę go, placę zań 3 kop. i zabieram się do czytania. Na to zwraca mi uwagę ów „towarzysz”: „widzę, że pan nietutejszy, niech pan to czym prędzej schowa, bo łatwo mógłby się pan na Sybir przejechać”. Złakłem się, bo na paszporcie figurowałem jako syn Gołonki, mógłbym więc i o podszybie się pod cudze nazwisko być oskarżony i gazetę natychmiast schować.

Na placu przed bramą klasztorną widzę ogromne zbiegowisko ludzkie. Zapytuje, co się stało? Ano nie widzi pan — powiada mi pewien robotnicarz — że niosą zabitego rewirwego, którego przed chwilą młody popesowiec z browninga zastrzelił?

Widząc, jak policja rozbiegła się na wszystkie strony, szukając zabójcy, wróciłem do kościoła, przesiadłem na chwilę i potem dopiero, gdy już zbiegowisko było rozproszone, poszedłem na kwatery „Robotnika” przeczytałem od deski do deski i podarłem na drobniutkie kawałeczki. Po południu znowu poszedłem na nieszpory. Widziałem tam mnóstwo żołnierzy rosyjskich, a między nimi i jednego Chińczyka z warkoczem. Modlili się oni narówni z naszymi z czego wynioskowałem, że różnica obrządku wschodniego a zachodniego nie jest tak wielka i nienawiści między katolikami a prawosławnymi nie ma. Nienawiść szerszą góra dla celów politycznych, podczas gdy gmin i tu i tam widzi tylko chrześcijan.

Aby przecieć coś z Częstochowy przynieść, kupiłem kilka paczek doskonałej tabaki zielonej, która miała przyjemniejszy zapach od austriackiej. Spodziewałem się to przenieść łatwo, bo nie miałem żadnego pakunku, a w kieszeni mogłem wiele różnych rzeczy przemycić, nie narażając się na zarzut przemycnictwa.

POLITYKA CHŁOPISKA 1906

I w polityce zaznaczył się ruch wielki. Parlament austriacki uchwalił nową ordynację wyborczą, wprowadzając powszechne prawo głosowania. Główny postulat stronnictwa lewicowego został wywalczony. Trzeba było masowy wyborców z nowym sposobem głosowania zaznajomić. Urządzano więc w tym celu osobne zgromadzenia i wiece.

W Harbutowicach pierwszy taki wiec urządzili w lutym 1907 r. w izbie Jana Kocandy na Coskowie. Głos drżał mi ze wzruszenia, gdy zgromadzenie to zagajano. Ale pierwszy mój występ publiczny wypadł dobrze, a mowa na słuchaczach wywarła dodatnie wrażenie. Pierwszemu temu wiecowi w Harbutowicach przewodniczył Józef Rusin, wójt z Bieńkówek i on też odpowiedni referat wygłosił. Wiec zakończyliśmy odśpiewaniem hymnu narodowego: „Jeszcze Polska nie zginęła” i pieśnią: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem”.

W marcu 1907 r. zwołał Stapiński do Wadowic zjazd delegatów gminnych komitetów ludowych celem wyboru kandydata na posła. Zjazdowi przewodniczył Andrzej Średniawski z Górnej Wsi przy Mysłowicach, b. poseł sejmowy. Stapiński chciał preferować kandydaturę Bernadego, kierownika szkoły z Woły Radziszowskiej, albo Dziąbka z Zygodowic. Delegaci jednak w tajnym głosowaniu ogromną większością głosów wysunęli kandydaturę Średniawskiego i Stapiński z wolą ludu musiał się pogodzić.

Ponieważ wówczas wybierało się także zastępców posłów, wiec polecono na zastępcę Bernadego. Na owym zgromadzeniu zobaczyłem także studenta z piątej klasy gimnazjalnej. Pytam się Styły, co to za student? A to Putek, syn kolejarza, który mimo młodocianego wieku interesuje się polityką ludową. Poznałem jeszcze Starowicza z Krzywaczki, który miał ochotę bodaj zastępcą posta zostać, a gdy zauważył, że nic z tego nie będzie, poszedł tam, gdzie można było coś uzyskać.

Okręg nasz obejmował powiaty sadowe. Myślenice — Skawina — Kalwaria — Wadowice — Zator i wybrał dwóch posłów. Ludowcy liczyli tylko na jeden mandat i jedną kandydaturę wysunęli. O drugi mandat ubiegali się: Marek Luszkiewicz, marszałek powiatu wadowickiego, Mikołaj Klakurka, adwokat z Myślenic, Franciszek Sułczewski, urzędnik Kasy Chorych z Krakowa i Stanisław Kuzia, naczelnik sądu w Skawinie.

Ludowcy rozwinieli szaloną agitację za Średniawskim. Ja sam w wolnych chwilach od nauki ugańiałem po powiecie, urządzając wiec. W samych Harbutowicach, Palczy i Baczynie odbyliśmy 5 zebrań, nie licząc Sulkowa, Myślenic, Kalwarii, Izdebnika itd.

W naszych okolicach pomagał mi Jan Trąbka, ów towarzysz młodzieńczych lat w Izdebniku spędzonych. Z nauczycieli prócz wspomnianego już Bernadego, agitowali jeszcze Michał Baścik z Myślenic i Stanisław Parys z Krzywaczki. Trzeba było wielkiej odwagi cywilnej na owe czasy, aby nauczyciel mógł się odważyć na wzięcie udziału w agitacji wyborczej na rzecz kandydata stronnictwa skrajnego, za jakie uważano Stronnictwo Ludowe. Mimo pogrózek pracowaliśmy dalej i zyskaliśmy pełne zaufanie ludu.

Nasz obwód wyborczy obejmował: Harbutowice, Palczę, Baczyn i Zachełmną. Głosowanie odbywało się w szkole. Należało do komisji wyborczej, więc w dniu wyborów w agitacji udziału nie wzięłem. Przysłałem się w komisji, bo kiedy jeden z członków chciał kilka głosów błędnie napisanych unieważnić, sprzeciwiłem się temu, powołując się na ordynację wyborczą, która powiada, że głos należy uważać za ważny, jeżeli wyborca i członek komisji wiedzą o jaką kandydaturę idzie. Tego samego zdania był komisarz wyborczy, który sam kilkakrotnie nazwisko Średniawskiego poprawiał.

Wynik głosowania był taki, że na 516 ważnie oddanych głosów, 506 padło na Andrzeja Średniawskiego, reszta na Sulczewskiego i Łuszczkiewicza. To też jako poseł większości wybrany został przy pierwszym głosowaniu Średniawski, otrzymawszy 7799 głosów, a miedzy Sulczewskim, a Łuszczkiewiczem odbyły się miały ściślejsze wybory. Wynik był przesądzony na korzyść tego kandydata, za którym oświadcza się ludowcy. Ze względów narodowych należało poprzeć kandydaturę Łuszczkiewicza, chociaż większość zradycaliżowanych wyborców stała po stronie socjalisty. Ja sam w Harbutowicach miałem twarde orzech do zgryzienia, zanim zdołałem nakłonić większość wyborców do głosowania za Łuszczkiewiczem, mniejszość nie wiedziała jeszcze co to jest karności partynia i oddała głosy socjalistom. Najbardziej bolało to naszego proboszcza, który duchem stał po naszej stronie i nawet przyznawał nam słusność, ale nie mógł się pogodzić z tym, żeby rolnik głosował na socjalistę, których interesy są sprzeczne.

W ściślejszym głosowaniu wybrano Łuszczkiewicza, ale w Harbutowicach większość głosów na socjalistę padła, bo agitator ich nie zasypiał sprawy i zdołał w Zachełmnej, Baczynie i Palczy większość wyborców pozyskać dla swego kandydata.

Podczas wyborów mogli agitatorzy sporo gotówki zarobić od kandydatów mających; my ludowcy pracowaliśmy dla idei, a od naszego kandydata ani wzięć nie nie mogliśmy, ni on sam dać nie mógł. Dopiero po wyborach zaprosił do siebie wybitniejszych działaczy ludowych i sprawił im skromne przyjęcie w swojej zagrodzie w Górnej Wsi.

W Harbutowicach, prócz mnie, pracowali jeszcze gospodarze: Michał Bogdał, Jan Gollonka, Leopold Kania i Karol Tondyra. Na zgromadzenia jechaliśmy wozem, ci gospodarze bowiem nie żałowali ani czasu, ani koni, ani pieniędzy na sprawę ludową.

ORLY, SOKOŁY 1910.

Rok 1910 to pięćdziesiąta rocznica pogromu krzyżaków pod Grunwaldem. Ponieważ prusactwo przysięgło się na naród polski i za wszelką cenę chciało go wytepić. Po Wrsieński przyszła ustawa o wywłaszczeniu, więc wielki Polak i patriota Ignacy Paderewski własnym kosztem zbudował w Krakowie pomnik grunwaldzki, aby przypominał Polakom chwilę, kiedy pokonane krzyżactwo leżało u stóp naszych. Każda szkoła, każda wioska uroczystość Grunwaldu obchodziła. I my w Harbutowicach obchodziliśmy. Pierwszy raz też w kościele harbutowskim zabrzmiła pieśń: „Boże coś Polskę”, odpiewana przez działkę szkolną i młodzież, bo starsi tej pieśni nie umieli. Korona wszystkich obchodów był obchód grunwaldzki w Krakowie, połączony z odsianiem pomnika, trwający kilka dni. Główna uroczystość przypadła w dniach 13, 14 i 15 lipca.

W pierwszym dniu uroczystości odbyło się odsianienie pomnika grunwaldzkiego, postawionego na placu Matejki. W obecności Paderewskiego, twórcy pomnika, artyści reżysiarza Wiwulskiego, deputacji z całej Polski i tłumów publiczności odsianiono olbrzymi pomnik Władysława Jagiełły na koniu, poniżej którego posąg Witolda, spoglądającego na leżącego u stóp olbrzymiego krzyżaka. Po bokach alegoryczne figury i napisy: „Pracjcom na chwale”, „Potomnym na otuchę”.

Wśród gości widzieliśmy przedstawicieli całej Słowiańszczyzny, a także Węgrów, tylko Rusinów brakowało. Po raz pierwszy usłyszałem wówczas wspaniałą melodię „Roty” Konopnickiej, skomponowaną przez Feliksa Nowowiejskiego.

Nie mogąc dostać się bliżej pomnika, nie słyszałem wszystkich mów, dopiero docisnąłem się bliżej, gdy imieniem kadetów rosyjskich przemawiał poseł do Dumy Pogodin i poseł do parlamentu węgierskiego, którego nazwiska nie zdołałem zapamiętać, chociaż postać jego ubrana w narodowy strój węgierski dotąd tkwi w mej pamięci.

Drugi dzień był poświęcony głównie popisom sokolim. Ja zaś udałem się na wiec oświatowy, urządzony przez akademicką młodzież ludową z T. S. L. w teatrze ludowym przy ulicy Rajskiej.

Cała olbrzymia sala teatralna napełniła się już przed wyznaczoną godziną uczestnikami, wśród których można było zauważyć liczne rzesze nauczycielstwa, włościastwa, młodzie-

ży akademickiej, robotniczej i nieco inteligentny miejskiej.

Wicewi przewodniczył Franciszek Stefczyk i Jakub Bojko, sekretarzowali nauczyciele: Feliks Koczur i Henryk Kanarek.

Po wygłoszonych referatach rozwinęła się dyskusja, w której głos zabierali przedstawiciele wszystkich stanów i zawodów, działacze oświatowych i politycznych. Pięknie przemawiał Włodzim. Tetmajer, adwokat Moskwa, ale pod względem języka, stylu i sztuki krasomówczej pierwsze miejsce zajął redaktor Jan Dąbowski, a pod względem siły argumentów, logiki i treści poseł sejmowy Wincenty Witos z Wiercnoślawic. Dąbowski w swojej mowie zwrócił uwagę na kształcenie charakterów, bo „akt powiadał” narodowi charakterów dziś trzeba. Witos wskazywał na naszych możnowładców, którzy zamiast nieść przed narodem oświaty kaganiec, nieśli kopaczą łojówkę, żeby się zdawało, że się coś robi. A spoglądali trwożliwie w stronę Petersburga, Berlina i Wiednia i przed zaborcami pokornie zginali kolana.

Przy uchwalaniu rezolucji powstał zatarg między przewodniczącym Stefczykiem, a nauczycielstwem, skutkiem czego Stefczyk z przewodnictwem zrezygnował. Wszystkie jednak wnioski i rezolucje uchwalono, a więc zastępca przewodniczącego Jakub Bojko zamknął zebranie.

Trzeba było drugą noc przepędzić w Krakowie i przenocować się gdzieś pod gołym niebem. Miałem tu wprawdzie kilku kolegów, ale nie znałem ich dokładnych adresów, mogłem pójść do Osuchowskich, ale nie chciałem im się narzucać. Myślałem sobie: wieczorem będą puszczać wianki na Wiśle, pójdę tam i mile czas spędzę do północy, a potem siądę gdzieś na ławce zdrzemnę się i to mi wystarczy. Tak się też stało.

Na wiankach wdałem się pogawędkę z pewnym lwowianinem, który wyraził żal, że Lwów nie ma większej rzeki, i że we Lwowie wianków urządzić nie można. Końcowym punktem programu wianków było oświetlenie Wawelu, który przedstawiał czarujący widok.

Gdy już tłumy zaczęły się rozchodzić, poszedłem i ja gdzieś głowę skłonić Na planach w kątku koło Grażyny usadowiłem się na ławce i zacząłem drzeć. Na szczęście nikt na mnie nie zwracał uwagi i nawet policjant mnie nie zaczepił, bo więcej takich gości było, którzy na planach noclegu szukali Wkrótce rozwidniło się, poszedłem więc nad Wisłę unymić się zimnej wodzie i senność znikła. Urządziłem sobie przechadzkę na górę św. Bronisławy, skąd rozciąga się cudownie piękny widok Krakowa i okolicy. Siadłem sobie na ławce dumać. — Z wieży Mariackiej dochodziły tony hejnału, a potem pieśni nabożnych odegranych na 2 trabki. Najpiękniejsza to muzyka, z którą tylko dźwięk dzwonu Zygmunta w porównaniu iść może.

Na błoniach formował się pochód, który miał przejść ulicami: Wolską, Straszewskiego, Podwale, Basztowa, Floriańska, Rykiem i Grodzką na Wawel, gdzie na grobie pogromcy krzyżaków delegacje miały składać wieńce. Olbrzymie bionia zaczęły się zaludniać. Z miasta fiakrami, autami i pieszo dążyli na wyznaczone miejsca zborne: sokoli, strażacy, kolejarze, górale, Krakowiacy, rozmaici dygnitarze, a wszystko w narodowych strojach, kontuszach, czamarach, sukmanach i cunach. Osobno gromadziła się banderia Krakusów w sile 2 tysięcy koni. Nawet zamożniejsze panny i panny przybrały się na on dzień w błękitne lub amarantowe kontusiki i konfederatki, mniej zamożne w stroje ludowe krakowskie, a tylko proletariat w zwykłe miejskie ubrania.

Gdy zobaczyłem nadjeżdżającego prezydenta miasta Krakowa, ubranego w strój polski, zabrałem się ku miastu, aby zabezpieczyć sobie dogodnie miejsce, z którego mógłbym cały pochód widzieć.

Niepodobniemstwem było wylizywać wszystkich grup pochodu, które zebrana publiczność mniej lub więcej gorąco oklaskiwała. Najliczniejsza bo około 12 tysięcy licząca grupa stanowiąli sokoli, maszerujący oddziałami. Każdy komendant oddziału, przechodząc koło balkonu, na którym stał Paderewski, komenderował „Baczność! Na prawo patrz!” Oblicza zwracały się w stronę balkonu, sztandary pochylały się, oddając w ten sposób hołd wielkiemu obywatelowi i zasłudze.

Najgoręcej oklaskiwano sokolów wielkopolskich i górnośląskich jako pochodzących z ziem najwięcej na prześladowanie potomków krzyżackich narażonych, a umiających tak dzielnie się bronić.

Oklaskiwano także gorącą czeską grupę sokolą, pozdrawiając ją czeskim: „Na zdar”. Krew w żyłach mroził widok olbrzymiego wieńca cierniowego, spowitego w kajdany, niesionego przez Polki z Warszawy. Ręce składały się do oklasków, lecz wkrótce znieruchomiały, a głos zamierał w piersiach.

Posł Średniawski pokazał mi znających sobie posłów czeskich, słoweńskich i chorwackich, witał ich okrzykami: „Na zdar”, „Żywio” a ja mu w tych okrzykach wtórowałem z radości, że w walce z naporem germańskimi nie jesteśmy odosobnieni.

Osobną grupę stanowiło Koło Polskie, w którym zgodnie obok siebie maszerowali posłowie różnych obozów politycznych z wyjątkiem posłów socjalistycznych, którzy maszerowali w grupie robotniczej z Daszyńskim na czele.

Nawet ważniejsze ugrupowania trudno wyliczyć, dość wspomnieć, że wszystkie ziemie dawniej Rzeczpospolitej, w pochodzie były reprezentowane. Pochód trwał przez całe 5 godzin, a ostatnie szeregi przemaszzerowały już o godzinie trzeciej po południu.

FAKTY I ZDANIA

Skarbiec kultury

„Po prostu”

Wśród błędnych schematów pojęciowych jest nadal aktualne ujęcie kultury dzielącej się na kulturę materialną i duchową. Strona materialna jest konieczna, bo jest, duchowa jest akcydentalna i składa się z elementów pełniących funkcję przede wszystkim zabawowe: teatr, kino, literatura, muzyka, taniec. Oto jest kultura: aktorzy grają w teatrze, muzycy na drzewie, kioskach bydlęcych, rurach metalowych i t. d., literaci zajmują się literaturą, literaci piszą książki. Jedne z tych książek są ładne, inne brzydkie, jedne na poziomie, inne poniżej. Te dobre wzbogacają naszą kulturę, składają się na jej skarbiec. Autorzy tych książek stają się skawni, ich dzieła i pamięć o nich są trwalsze w skarbcu kultury, niż pamięć złych książek. Zainteresowało nas to zjawisko umysłowe, gdyż mamy okazję obserwować je w każdym numerze „Miesięcznika Ludowego” w artykułach Edwarda Marca. Zastanawialiśmy się, co ono oznacza. Co to znaczy, że pisarze powinni pisać z myślą o stworzeniu wielkiego dzieła, a nie ze względu na przyjemność, lub pożytek? Co znaczy podział literatury na lichą, przeciętną i znakomitą i podział pisarzy na lichych, przeciętnych, znakomych? Co znaczy, że literaci powinni pilnować przede wszystkim literatury i spraw z literaturą związanych? To znaczy, według nas, że się nie ma żadnej ideologii kulturalnej, że się nie ma nic oprócz mętnego przekonania, że kulturę należy upowszechniać.

„Kultura duchowa” jak ją pojmuje Marzec, to jakaś wielka zabawa i uczta. Z zawiścią pisze on, że „ludność miejska żyje kulturalnie, oświeca się i rozkoszuje” podczas gdy chłop, jak dostanie gazetę do ręki zasypia nad nią po całodziejnej orce lub młocce. Kulturę się „kosztuje”. Ta terminologia jest znająca. Długo jeszcze Marzec będzie narzekał na stan kulturalny wsi, na brak urządzeń kultury na wsi, tak długo, dopóki on sam i podobnie myślący nie zrozumieją: 1) że nie ma żadnego skarbcza kultury, że nie ma kultury w ogóle poza ustrojem polityczno-społecznym, 2) że same urządzenia kulturalne bez ogólnej społecznej koncepcji kultury wbudowanej w ustrój — są bezużytecznym balastem. Edward Marzec dziwi się i ubolewa („Woda w ustach i gadulstwo” — Dziennik Ludowy), że na zjeździe Oddziału Węjskiego mówiono za wiele na tematy pozaliterackie, kiedy literaci powinni pilnować tylko literatury. Z czego się rodzi literatura? Czy ze słów? Czy z wnętrza duszy? Według nas na zjeździe Oddziału Węjskiego za mało mówiono o sprawach pozaliterackich, o sytuacji i zadaniach inteligencji chłopskiej, o roli politycznej pisarstwa, o tych rzeczach, które określają miejsce pisarzy chłopskich we współczesnej rzeczywistości społecznej.

A już decyzję, kto z nich wejdzie, a kto nie, do skarbcza literatury polskiej pozostawmy dobremu duchowi Kazimierza Promyka, któremu koncepcja skarbcza w jego działalności oświatowo-filantropijnej także nie była obca. Było to blisko 80 lat temu.

Anna Kamińska.

Wiadome dopiero źródło „Nurtu”

Od miesiąca już zapowiadano ukazanie się „Nurtu”, miesięcznika najmłodszego pokolenia literackiego. Wyszedł wreszcie pierwszy numer. Wystarczy spojrzeć na nazwiska młodych pisarzy, by przekonać się, że pismo jest kontynuacją nie wychodzącego już „Pokolenia”. Zmienił się akcent polityczny, zmieniły się wypowiedzi ideologiczne, ale środki literackie pozostały jednak te same. Rozbitki z grup literackich okupowanej Warszawy, z „SiNu”, „Dziwigarów” i z „Drogi” kontynuują swój program artystyczny. Uczniowie awangardy i poetki francuskie post-nadrealistów przejawiają swoje tradycje we wszystkich wierszach tu umieszczonych. „Odwiedź” Różewicza wręcz można by umieścić w zbiorze Préverta. Najciekawszą pozycją numeru, nie jest jak się spodziewano, wspomnienie Borowskiego, pełne nieoczekiwanej żerozmszczyzny, lecz „Pociałunek w Hiszpanii” R. Bratnego. Fragment dramatu wskazuje na interesujące założenie utworu. Jest to sztuka z tezą, sztuka usiłująca udowodnić nonsensowność anty-marksistowskiego stanowiska w działaniu i wykazująca nieświadomą akceptację podstawowych tez materializmu przez ludzi pozornie najbardziej mu wrogich. Niewątpliwą pozostałością dawnej linii dramatycznej jest wprowadzenie na scenę komeđnarza do utworu w postaci intermedium. Jest to znany chwyt z eksperymentalnego dramatu we Francji (występuje bardzo często u Giraudoux). Najcenniejszą jednak częścią numeru są przekłady, nie ze względu na wartość tłumacza (przekłady Aragona Ewy Fiszer są niedobre), lecz ze względu na walory rzeczy tłumaczonych. Mamy tu świetnie opowiadanie Steibeca, programowy utwór Sartre’a i cykl wierszy Louis Aragona. Jest to próba pokazania polskiemu czytelnikowi wysiłków literatury zachodniej, tak różnej od głównych rysów polskiej twórczości. O wiele mniej poważnie wyszedł dział krytyki. Ten cenzurkowy sposób oceniania narzuca nam artykuł Marcza. Oborskiego, pełno w nim pojęć niesprawdzałych, ocen nie nie znaczących. One to dyskwalifikują wartość całej wypowiedzi. Z pewną przyjemnością odczytujemy potem artykuł W. Macha, na którego tezy na temat zadań krytyki nie zgadzamy się. Można się jednak nad nimi zastanowić.

Pisma, które nie reprezentują wyraźnej grupy ideologicznej i których koncepcja kultury odbiega od tradycji kulturalnej swojego środowiska, nie licza się prawie na rynku kultury i ważność mogą osiągnąć najwyżej po latach — historyczną. Odnosi się to zresztą do wszelkich produktów myśli — przykład — prace kameralisty z epoki stanisławowskiej Nałxa, którego teoria uzdrowienia polskiego przemysłu, posępowała wobec panującego sz-zjokratyzmu nie znalazła uznania wśród społeczeństwa. Po prostu Nałx był prawie sam, nie miał swojej szkoły, swoich wyznawców, nie było ruchu. Jeśli można mówić o pewnych związkach łączących samo pismo — określoną liczbą współpracowników i zwolenników, którym odpowiada ogólny kierunek ideologiczny redakcji to przecież pismo nie służy samej grupie, ono wychodzi poza nią, oddziaływanie na inne środowiska.

Wznowienie przedwojennego „Po prostu” poprzedziło szerokie ożywienie akademickich ognisk „Życia” rozsiągnięte po wyższych uczelniach w Polsce. Praca dyskusyjna w seminariach marksistowskich, współpraca młodych intelektualistów marksistowskich z „Kuźnicą” przygotowały grunt i przekonały o możliwości stworzenia własnego pisma. Więc, przekonano o potrzebie wydawania takiego pisma.

„Jest rzeczą socjologicznie stwierdzoną, że część rewolucja ideologiczna nie nadała za treścią przemian gospodarczo-społecznych”. („Po prostu” nr 2, A. Slucki). Przypieszać będzie tę rewolucję „Po prostu” przede wszystkim na terenie akademickim. Wynikają z tego dwie funkcje pisma. Jedną: w oddziaływaniu na inne środowiska akademickie („Wici”, Z. N. M. S.) i poza akademickie (gimnazja, licea) i druga funkcja: stworzenia wyższego studium ideologicznego dla dołów organizacyjnych „Walki Młodych”. Nasuwa się porównanie z „Wiciami” i „Młoda Myśl Ludowa”. W obu wypadkach jest ambicją odskoku o piętro wyżej. W wypadku pism marksistowskich zachodzi różnica poziomów a występuje służba dla jednego systemu. Pisma młodzieżowe chłopskie nie odnalazły jeszcze swojej linii politycznej, nie spełniają nawet tej funkcji, jaką spełniały przed wojną.

Problemem podstawowym „Po prostu” jest określenie zadań młodej inteligencji polskiej, jej słosunku do współczesności: „Młoda inteligencja polska, która wyzbyła się niejednego kompleksu, która mimo perypetii psychicznych doszła do afirmacji wielkich reform gospodarczych, włączy się także do nowego nurtu życia duchowego i zajmie czołowe miejsce w dziele odrodzenia kultury polskiej. Im głębiej rewolucja polska zapuszcza korzenie, tym bardziej paradoksalna staje się pozycja człowieka, który próbując reformę rolną i unarodowienie przemysłu nie rozumie konieczności przemian w treści i formach kultury. Problem ten jest przedmiotem dyskusji wśród młodej inteligencji, jest przedmiotem sporów słudencich. Nie rzadko szafuje się frazesem „życiowości powszechnej” i puszcza się w ruch wszelkie możliwe imponderabilia dla podważania poczynań rządu ludowego w dziedzinie oświaty ludowej na wszystkich szczeblach.

Potrąfimy odróżnić frazesy humanistyczne od rzeczywistych, krytycznych idei humanistycznych, jakie żyją w młodzieży”.

Tadeusz Papier

KOMUNIKAT

Tymczasowy Zarząd Główny Towarzystwa Uniwersyteów Ludowych R.P., powstały w wyniku połączenia się szeregu organizacji i instytucji oświatowo-kulturalnych, działających na wsi, zawiadamia wszystkie terenowe ognia organizacyjne tych organizacji i instytucji, iż do czasu zatwierdzenia statutu działalności tych ogniw powinna być prowadzona nieprzerwanie.

Do tego czasu nie mogą być podejmowane żadne poczynania zmieniające dotychczasowy stan organizacyjny na terenie zainteresowanych instytucji i organizacji, a wszelkie projekty w tym zakresie powinny być przekładane do rozpatrzenia Tymczasowemu Zarządowi Towarzystwa Uniwersyteów Ludowych R. P., pcd adresem: Warszawa — Smulikowskiego 6/8, TUL-R.P.

Za Tymczasowy Zarząd TUL-R.P.
Sekretarz: (Wacław Schayer) Prezes: (Wilhelm Garnarczyk)

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny z.w. Samopom Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje administracja tyg. „Więś” Łódź, Piotrkowska 133, II p., telefon 100-98.

Konto PKO Łódź VII — 1080.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” Łódź, ul. Zwirki 2. D—017846